

Archiwum Państwowe w Szczecinie
Kuratorium Oświaty w Szczecinie

Znajdź swoją pamiątkę rodzinną i opisz jej historię

**Prace laureatów IV edycji
konkursu historyczno-literackiego**

Szczecin 2023

Redakcja: Małgorzata Duras

Korekta: Janina Kosman, Magdalena Szmorąg-Nerć

Skład, łamanie: Łukasz Szelemej

Projekt okładki: Łukasz Szelemej

Konkurs zrealizowany według pomysłu Małgorzaty Duras

Na okładce wykorzystano fotografie ilustrujące prace Laureatów IV edycji konkursu: Bartosza Dobruchowskiego, Miłosza Grinczelisa, Aleksandry Karpińskiej, Antoniny Koziół, Zuzanny Sydlewskiej i Filipa Wiśniewskiego.



Copyright by Archiwum Państwowe w Szczecinie 2023

Copyright by Kuratorium Oświaty w Szczecinie 2023

ISBN 978-83-66028-22-7

(wersja papierowa, Archiwum Państwowe w Szczecinie)

ISBN 978-83-66028-23-4

(wersja pdf, Archiwum Państwowe w Szczecinie)

Wydanie I

Nakład: 500 szt.

Spis treści

1. Od wydawców.....	7
2. Laureaci IV edycji konkursu historyczno-literackiego „Znajdź swoją pamiątkę rodzinną i opisz jej historię”.....	13
3. Prace Laureatów IV edycji konkursu historyczno-literackiego.....	15
4. Aleksander Sikorski.....	16
5. Dagna Nienaltowska, <i>Zaczarowany kufel</i>	28
6. Liliana Kalinowska, <i>Szafa z historią</i>	32
7. Borys Dacewicz, <i>Płomień światła</i>	36
8. Bartosz Dobruchowski, <i>Pamiętki historyczne z bitwy pod Monte Cassino</i>	40
9. Franciszek Gawlik, <i>Rodzinną pamiątkę – Order Odrodzenia Polski</i>	44
10. Hanna Rzeszowska, <i>Pamiątka ukryta w puszczy</i>	48
11. Malwina Pomalejko, <i>Złote obrączki – symbol miłości i przywiązania</i>	52
12. Zuzanna Sydlewska, „Dziś bym do Was leciał na skrzydłach Sokola...”, <i>czyli historia o tym, że nic nie jest tak silne jak miłość</i>	60
13. Aleksandra Karpińska, <i>Milczący świadek historii</i>	68
14. Aleksandra Pieczyńska, <i>Historia pierścionka z fioletonym oczkiem</i>	72
15. Bianka Barwińska, <i>Dwa światy</i>	80
16. Mikołaj Górski, <i>Cudowny obrazek prababci Adeli</i>	86
17. Miłosz Grinczelis.....	94
18. Julia Drewniak.....	100
19. Piotr Sobczak, <i>Pamiątka rodzinna</i>	106
20. Filip Wiśniewski, <i>Pierścień rodziny historia rodziny Laskowskich</i>	110
21. Antonina Kozioł.....	116
22. Emilia Górak, <i>Sentymentalny hotel</i>	122
23. Piotr Maduzia.....	128
24. Weronika Święciochowska, <i>Niezwykłe zapiski zwykłego księdza,</i> <i>czyli „Miecz na Lemiesze”</i>	134
25. Gala rozdania nagród Laureatom IV edycji konkursu.....	138

*„Najważniejsze jest, by gdzieś istniało to, czym się żyło:
I zwyciężaje. I święta rodzinne. I dom pełen wspomnień.”*

Antoine de Saint-Exupéry

Drodzy Uczniowie!

Szanowni Dyrektorzy, Nauczyciele i Rodzice!

Znamy już laureatów IV edycji konkursu na pracę historyczno-literacką pt. „Znajdź swoją pamiątkę rodzinną i opisz jej historię”, który zorganizowaliśmy wspólnie z Dyrektorem Archiwum Państwowego w Szczecinie Krzysztofem Kowalczykiem.

Dziękuję Uczniom za odkrycie bogactwa swoich pamiątek rodzinnych. Są one bowiem jak magiczne lustro, które odbija nasze korzenie, przeszłość i miłość, przypominając nam, kim jesteśmy i skąd pochodzimy. Mam nadzieję, że czas spędzony przy pisaniu prac, składał się z momentów fascynujących odkryć, poznawania rodziny na nowo. To było niesamowicie inspirujące widzieć, jak uczniowie odkrywają i doceniają korzenie swoich rodzin, które często sięgają daleko wstecz.

Pamiątki rodzinne mają niezwykłą moc przekazywania historii i wartości. Pozwalają nie tylko poznać przodków, ale umożliwiają lepsze zrozumienie naszej tożsamości. Uczniowie, którzy zglębiali historię swoich rodzinnych pamiątek, często odkrywali fascynujące historie o wytrwałości, odwadze czy też duchu wspólnoty, które zostały przekazane przez pokolenia – to niezwykle cenne.

Ważne jest, aby społeczności szkolne doceniały te prace uczniów i wspierały ich w dalszym eksplorowaniu rodzinnych korzeni. Zachęcam Dyrektorów i Nauczycieli do organizowania zajęć, które pozwolą młodzieży dzielić się swoimi historiami i pamiątkami rodzinnymi. Może to być doskonała okazja do budowania więzi w klasach, wzajemnego zrozumienia oraz poszerzania wiedzy na temat naszej lokalnej i narodowej historii.

Pragnę pogratulować wszystkim Uczniom, Rodzicom i Nauczycielom... Wasza kreatywność i zaangażowanie są godne uznania. Dzięki Wam, szkoły stają się miejscem, gdzie historia nabiera życia, a młodzi ludzie uczą się o znaczeniu swojej przeszłości.

Życzę wszystkim dalszych sukcesów w odkrywaniu i dokumentowaniu historii rodzinnych. Niech Wasze prace staną się inspiracją dla innych i przyczynią się do budowania więzi między pokoleniami.

Z wyrazami szacunku,

Katarzyna Koszewska

Zachodniopomorski Kurator Oświaty

*„Człowiek podróżuje po całym świecie w poszukiwaniu tego,
czego potrzebuje, i wraca do domu, aby to znaleźć.”*

George A. Moore

Drodzy Rodzice, Nauczyciele i Uczniowie!

Oddajemy w Wasze ręce publikację prac osób nagrodzonych w czwartej edycji konkursu, dotyczącego opisanie rodzinnej pamiątki. Jest to inicjatywa realizowana wspólnie przez Kuratorium Oświaty i Archiwum Państwowe w Szczecinie. Dzięki zaangażowaniu Zachodniopomorskiej Kurator Oświaty Katarzyny Koszewskiej, pracowników kuratorium i archiwum, konkurs cieszy się nieustającym zainteresowaniem uczniów szkół podstawowych i ponadpodstawowych z województwa zachodniopomorskiego. W tej edycji napłynęło 109 prac. Komisja konkursowa wyłoniła 21 Laureatów.

Opisanie cennego przedmiotu, będącego w posiadaniu rodziny, może być istotną przesłanką do poznania jej przeszłości. Źródłem wiedzy o historii rodziny mogą być materiały archiwalne, artefakty (np. biżuteria, ruchome dzieła sztuki, przedmioty codziennego użytku, sprzęty gospodarstwa domowego). Są one kluczem do odkrywania historii rodu, wsi, miasta, regionu i kraju. Niezwykle inspirujące mogą być rozmowy z pradiadkami, dziadkami, osnute wokół historii wybranych przedmiotów. Dzięki tym opowieściom poszerzamy swoją wiedzę o przeszłości, kształtujemy i umacniamy więzy rodzinne. W obecnym czasie, w rzeczywistości sieciowej, postmodernistycznej jest to szczególnie wartościowe i unikatowe. Poznając dzieje własnego rodu, łatwiej jest nam zrozumieć historię miejsca, w którym żyjemy. Znajomość naszych korzeni, „małej ojczyzny” pomaga i jest spoiwem tożsamości narodowej, obywatelskiej, państwowej. Ma to istotne znaczenie na Ziemiach Zachodnich i Północnych, czyli obszarach przyłączonych do państwa polskiego w 1945 r. Ziemie te (w tym nasz region) były często określane jako „dziki Zachód”. Osiedlający się na Pomorzu Zachodnim musieli zmierzyć się z licznymi problemami adaptacyjnymi, aprowizacyjnymi; zjawiskiem przestępczości w tym szabrownictwa (kradzieży i wywożenia ponemieckiego mienia z opuszczonych domów, fabryk); terrorem ze strony Sowietów z Armią Czerwoną, NKWD (gwałtami, wymuszeniami, rabunkiem), funkcjonariuszy UB; brakiem dostępu do lekarzy, polskiego duchownego czy wreszcie „trudnym sąsiedztwem” z Niemcami, którzy tu pozostali. Dojmujące było poczucie „tymczasowości” tych ziem, utrzymujące się w świadomości wielu osadników do końca życia. Polacy przybywali tu ze Wschodu i Zachodu. Byli to wysiedleńcy (ekspatrianci) z Kresów Wschodnich, przesiedleńcy z Polski centralnej, Wielkopolski,

Małopolski, dawnego województwa pomorskiego, reemigranci z Zachodu, byli więźniowie niemieckich obozów koncentracyjnych, obozów pracy przymusowej, sowieckich łagrów, żołnierze Armii Krajowej, Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, 1. i 2. Armii Wojska Polskiego (osadnicy wojskowi). Pomorze Zachodnie stało się również miejscem zamieszkania Żydów, Ukraińców czy Greków. Wszyscy oni tworzyli nową regionalną tożsamość.

Dziękuję wszystkim uczestnikom konkursu za udział w tym przedsięwzięciu. Zachęcam do zgłaszania prac w kolejnych edycjach. Tylko poznając i pamiętając o przeszłości, kształtujemy naszą teraźniejszość. Dziękuję Zachodniopomorskiej Kurator Oświaty Katarzynie Koszewskiej za naszą wspólną inicjatywę edukacyjną.

dr hab. prof. US Krzysztof Kowalczyk
Dyrektor Archiwum Państwowego w Szczecinie

Laureaci IV edycji konkursu historyczno-literackiego

„Znajdź swoją pamiątkę rodzinną i opisz jej historię”

1. Aleksander Sikorski, Szkoła Podstawowa nr 13 im. Orłąt Lwowskich w Szczecinie
2. Dagna Nienaltowska, Szkoła Podstawowa nr 7 im. Zjednoczonej Europy w Kołobrzegu
3. Liliana Kalinowska, Szkoła Podstawowa nr 48 im. Kawalerów Orderu Uśmiechu w Szczecinie
4. Borys Dacewicz, Publiczna Szkoła Podstawowa w Bezzreczu
5. Bartosz Dobruchowski, Szkoła Podstawowa w Kobylance
6. Franciszek Gawlik, Szkoła Podstawowa nr 6 im. Janusza Korczaka w Kołobrzegu
7. Hanna Rzeszowska, Szkoła Podstawowa nr 7 im. Heleny Raszki w Szczecinie
8. Malwina Pomalejko, Szkoła Podstawowa nr 3 im. Adama Mickiewicza w Łobzie
9. Zuzanna Sydlewska, Szkoła Podstawowa im. Kornela Makuszyńskiego w Kaliszu Pomorskim
10. Aleksandra Karpińska, Szkoła Podstawowa nr 3 w Choszczynie
11. Aleksandra Pieczyńska, Szkoła Podstawowa nr 53 im. Fryderyka Chopina w Szczecinie
12. Bianka Barwińska, Szkoła Podstawowa nr 2 im. L. Teligi w Kamieniu Pomorskim
13. Mikołaj Górski, Szkoła Podstawowa nr 3 im. Adama Mickiewicza w Łobzie
14. Miłosz Grinczelis, Pierwsza Szkoła Podstawowa Montessori w Szczecinie
15. Julia Drewniak, Publiczna Szkoła Podstawowa w Bezzreczu
16. Piotr Sobczak, Szkoła Podstawowa nr 3 im. Lotników Polskich w Świdwinie
17. Filip Wiśniewski, Zespół Szkół im. Pamięci Ofiar Terroryzmu 11 Września 2001 Roku w Kaliszu Pomorskim
18. Antonina Kozioł, Zespół Szkół Publicznych w Golczewie
19. Emilia Górak, Szkoła Podstawowa w Krzywiniu
20. Piotr Maduzia, Szkoła Podstawowa z Oddziałami Integracyjnymi im. Leonida Teligi w Pyrzycach
21. Weronika Święciochowska, Katolickie Liceum Ogólnokształcące im. Maksymiliana Marii Kolbego w Szczecinie

Prace Laureatów

IV edycji konkursu historyczno-literackiego

Znajdź swoją pamiątkę rodzinną i opisz jej historię

Aleksander Sikorski

Szkoła Podstawowa nr 13 im. Orłąt Lwowskich w Szczecinie



Wstęp

Nazywam się Aleksander Sikorski, mieszkam z rodzicami – Joanną i Michałem oraz babcią Elą, też Sikorską, w szczecińskim Wielgowie. Tu właśnie jest najpiękniejsza część miasta położona wśród starych, ogromnych sosen, na skraju Puszczy Goleniowskiej. Do naszego boru często jeździmy z rodzicami na rowerach. Chętnie spaceruję po lesie z babcią Elą i naszymi dwoma psami – Maszą i Freją. Po spacerze tradycyjnie przesiaduję na piętrze naszego domu, w pokoju babci, z którą zawsze jest o czym porozmawiać. U niej jest wiele ładnych rzeczy, które wyglądają jak rekwizyty z filmu podróżniczego.

Pewnego dnia powiedziałem babci, że zaciekały mnie przedmioty, które są trudno dostępne. Skinieniem głowy wskazałem zamknięty na klucz kredens, w którym był porcelanowy serwis do herbaty i flakony z motywami smoków. Babcia Ela uśmiechnęła się i wytłumaczyła mi, że są to delikatne, cenne pamiątki przywiezione przez jej rodziców z Chin, bo tam, dawno temu mieszkała nasza rodzina. W chińskim mieście Harbin urodziła się też moja babcia Ela. Do polskiego Szczecina nasza rodzina przyjechała po II wojnie światowej w 1949 roku. Babcia Ela (nikt z kolegów mi nie uwierzy) była wtedy trzyletnim dzieckiem. Nie znam nikogo, kto miałby babcię z tak daleka. Kocham ją za to, że przejechała tyle tysięcy kilometrów, aby tu w Szczecinie zostać moją babcią.

O porcelanowym skarbie mojej babci przypomniałem sobie, gdy w szkole pojawiła się informacja o konkursie naszego Kuratorium Oświaty pt. „Znajdź swoją pamiątkę rodzinną i opisz jej historię”.

Poprosiłem babcię, aby pokazała mi trzymane w kredensie filiżanki. Odpowiedziała, że cały serwis herbaciany został przywieziony z Chin. W świetle lamp zobaczyłem czarny zestaw składający się z trzech filiżanek na podstawkach, czajniczka, mlecznika i cukiernicy. Wszystkie naczynia posiadały białe uchwyty ze złotym paskiem. W głębi kredensu zobaczyłem talerzyki deserowe i jeden duży płaski talerz, które, sądząc po kolorach i wzorach, również wchodziły w skład tego zestawu. Na każdym naczyniu połyskiwał identyczny wzór przedstawiający stalowo-pomarańczowego smoka o ogromnych ślepiach, zionącego czerwonymi pasami ognia. Każde z naczyń zaskoczyło mnie swoją lekkością i delikatnością. Prawdziwa chińska porcelana. Przypomniałem sobie, że podobne smocze motywy widziałem kiedyś na treningach karate, które miałem na osiedlu Słonecznym. Moje oczy zaświeciły się do tych tajemniczych pamiątek. „Bardzo mi się podobają!” – wykrzyknąłem

w stronę babci. Ustaliliśmy, że w piątkowe wieczory będziemy się u niej spotykać na chińskiej herbatce, robionej w tych wspaniałych filiżankach, a mama mojego taty będzie mi opowiadać o dziejach naszej rodziny. Zbiore wiadomości, które dadzą mi odpowiedź na pytanie, jacy byli i jak żyli ci moi bliscy w Chinach.

Dlaczego nasi przodkowie wyjechali do Chin

Gdy pojawiłem się na piątkowym spotkaniu około godziny 18.00, zastałem stół nakryty białą serwetą, a na niej stały już dwie ciemne filiżanki z parującą herbatką. Prezentowały się pięknie. Moją podróż w czasie i w przestrzeni odbędzie z babcią Ela, która zawsze znajduje się najbliżej mnie. Na skraju stolika położyłem atlas geograficzny i kilka starych fotografii. Chciałbym sięgnąć do korzeni mojej rodziny, jak najgłębiej w jej dzieje. Na pierwszym spotkaniu dowiedziałem się, że babcia urodziła się w Chinach w polskiej rodzinie.

Rodzina jej ojca, a mojego pradziadka – Mariana Dudka – pochodziła z okolic Warszawy (z Grójca). Przodek ten miał dwóch nieznanych z imienia braci, którzy zaginęli w czasie II wojny światowej. Rodzice pradziadka Mariana wyjechali do Chin po wojnie rosyjsko-japońskiej (1904–1905), bo nie było im łatwo żyć pod carskim zaborem. Prapradziadek Antoni Drózdź poślubił w 1907 roku, wywodzącą się ze szlachty, Katarzynę Chojnacką. Ale jak dawniej bywało, kawaler musiał najpierw ukończyć służbę wojskową w armii carskiej, która w latach 1904–1905 walczyła przeciwko Japończykom. Zapytałem, dlaczego moi przodkowie walczyli w armii rosyjskiej. Od razu przypomniałem sobie, że na lekcji historii mówiliśmy już o rozbiorach Polski, a Polacy w końcu XVIII wieku utracili swoje państwo, dlatego musieli pracować i walczyć dla zaborców. Prapradziadek Antoni nie był posłuszny władzom carskim, działał w tajnych organizacjach, które dążyły do odbudowy państwa polskiego. Kilka razy go aresztowano. W końcu otrzymał „akt łaski” władz carskich: albo wyjedzie do pracy na krańce Rosji, daleko od ziem polskich, albo zostanie na długo uwięziony. Cóż było robić, wyjechał ze świeżo poślubioną żoną Katarzyną do pracy w firmie rosyjskiej budującej linię kolejową w Chinach. Prapradziadek zgodził się, bo Daleki Wschód poznał nieco w czasie wojny, w której wcześniej uczestniczył. Babcia otworzyła atlas, zobaczyłem i uświadomiłem sobie, jak daleko jest ze Szczecina do Chin. Jak tam w Chinach było?

Nasza herbata nieco ostygła. Popijając ją małymi łykami, zapytałem,

co moi praprzodkowie zastali w tych Chinach. Babcia Ela wyznała mi, że tego odległego kraju to ona właściwie nie pamięta. Do Polski przyjechała jako trzyletnie dziecko, ale od zawsze ta jej pierwsza ojczyzna była na ustach jej rodziców, bliskich i znajomych, którzy spotykali się w domu rodzinnym. Śmiejąc się, zażartowała, że tamten kraj to właściwie poznawała uszami. Ja odpowiedziałem, że się uzupełniamy, bo Chiny zacząłem poznawać oczami, patrząc z zaciekawieniem na chińskie pamiątki porozkładane w domu.

Trzymając w dłoni chińską filiżankę, powiedziałem, że dotykam chińskiej porcelany wynalezionej w Chinach kilka tysięcy lat temu. „W tych czasach na naszych ziemiach nie było Polski, ani nawet Słowian” – dodała babcia.

– Ale dlaczego moi krewni zostali wysłani przez Rosjan aż do Chin na początku XX wieku? – zapytałem.

Babcia Ela wiele wie na ten temat, miała prelekcje na Uniwersytecie Trzeciego Wieku w Książnicy Pomorskiej. Zaproponowała również, aby posiadane dokumenty harbińczyków przekazać do Archiwum Państwowego w Szczecinie. Chwyciła czajniczek ze smokiem, dołała nam herbacianego naparuru i powiedziała: „Uważaj, bo teraz powiem kilka słów. Z lekcji historii wynika, że nic nie jest dane nam raz na zawsze, państwa raz są silne, innym razem słabe. Mieszkańcy muszą o nie dbać, by wszystkim dobrze i długo służyły. Niestety, w przypadku Polski jak i Chin były takie lata, kiedy władza nad państwem była narodom odbierana przez złych, silnych sąsiadów. W końcu XIX wieku cesarskie Chiny były słabe, a różne kraje, takie jak Japonia czy Anglia, wykorzystywały bogactwa naturalne i niewolniczą pracę ludności tego państwa. Rosja nie tylko ukradła dużą część Polski, ale też dla własnej korzyści wtrącała się w sprawy chińskie. W końcu XIX wieku Chiny przegrały wojnę z Japonią. Wykorzystała to Rosja, która w zamian za pomoc wojskową i gospodarczą uzyskała zgodę na przeprowadzenie przez północne Chiny, zwane Mandżurią, ciągnącej się przez 1500 kilometrów linii kolejowej, która bardzo skracala drogę z syberyjskiego miasta Czita do leżącego nad Morzem Japońskim rosyjskiego Władywostoku”. Babcia liniijką zaznaczyła trasę kolejową na mapie, aby pokazać skrót. Rosjanie potrzebowali tam wielu tysięcy pracowników. Do dobrze płatnej pracy przybywali dobrowolnie lub pod przymusem Rosjanie i Polacy, a także fachowcy z różnych stron świata. Zadowoleni z wysokiego poziomu życia pracownicy kolejowi osiedlali się na terenie całej Mandżurii. Chińczycy też pracowali, ale zazwyczaj fizycznie i za niższe wynagrodzenie. Do budowy Kolei Wschodniochińskiej zgłaszali się więc dla zarobku polscy inżynierowie, ale i zbiegli zesłańcy z Sybiru oraz

osoby, którym ciężko było żyć pod carskim zaborem. Tak było w przypadku naszych krewnych spod Warszawy.

„Na pierwszy raz wystarczy” – powiedziała babcia, dopijając herbatę. „Za tydzień opowiem, skąd wziął się ten serwis do herbaty ze smokiem”.

Polak Chińczyk dwa bratanki

I znowu nastał piątek, już od rana myślałem, jak to będzie na wieczornym spotkaniu. Pojawiłem się punktualnie o osiemnastej. W pokoju babci zostałem przyjęty jako gość specjalny. Znowu na stoliku przykrytym białą serwetą pojawił się ten piękny chiński serwis z ognistymi smokami. Czajnik z parującą herbatą tym razem stał z boku, ustąpił miejsca kolorowemu talerzykowi z ciastkami.

Babcia Ela z uśmiechem nalala nam gorącego płynu i na wstępie spotkania powiedziała, że tym razem będzie chwalić Polaków, którzy budowali Kolej Wschodniochińską przez Mandżurię. A było naszych rodaków w tym rejonie dużo, bo aż dwadzieścia tysięcy. Przy rozwidleniu torów, na stepie powstało miasto Harbin, które w kilka lat zasiedliło 100 tysięcy mieszkańców różnych narodowości, w tym siedem tysięcy Polaków. W tym momencie babcia stanowczo powiedziała, że to wykształceni Polacy zbudowali to miasto. Podala przykłady. Nasi rodacy w Harbinie to: dyrektor budowy całej Kolei Wschodniochińskiej, główny architekt miasta, budowniczy dworca kolejowego, dyrektor banku, budowniczy mostu. Polscy przedsiębiorcy zakładali tam pierwsze młyny parowe, pierwszą fabrykę papierosów, pierwszą cukrownię. „A jak ci się zdaje?” Babcia spojrzała na mnie uważnie zza okularów. „Kto był właścicielem największego w mieście zakładu przetwórstwa drewna i meblarstwa? Osiem tysięcy pracowników!”. Łatwo zgadnąć – Polak. Nasi przodkowie wyróżniali się pracowitością, religijnością i wysoką kulturą osobistą. Zdobywali przez to uznanie i szacunek Chińczyków.

Pradziadek Marian zapamiętał sytuację, kiedy to bawiące się dzieci różnych narodowości natknęły się na leżącego pod płotem pijanego mężczyznę, a ktoś powiedział, że to Polak. Jednak kolega Chińczyk odparł, że nie, bo Polacy się nie upijają. Dla sprawdzenia zagadki dzieci zaczęły szarpać leżącego, ten odezwał się po rosyjsku. „A nie mówiłem!” – wykrzyknął Chińczyk a z nim i moja babcia.

W Harbinie polscy księża prowadzili dwa gimnazja, w których uczono również języka chińskiego. Do gimnazjum Henryka Sienkiewicza uczęszczał

pradziadek Marian Dudek, tato babci Eli i prababcia Janina Drózdź, mama mojej babci. Nauka w gimnazjum kończyła się maturą dającą wstęp na studia wyższe. Podczas wojny pradziadek Marian nie marnował czasu, maturę zdał w 1938 roku, w wieku 17 lat. Był najmłodszym maturzystą w całym gimnazjum. Pradziadek po maturze wstąpił do angielskiego college'u w Harbinie. Po jego ukończeniu został nauczycielem języka angielskiego w swoim dawnym gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza. Był nauczycielem z powołania, pracował za niską płacę. Po południu organizował wycieczki krajoznawcze i korepetycje przygotowujące młodzież do matury. Prowadził koło teatralne wystawiające sztuki Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego, Aleksandra Fredry. Koło malarskie, które również prowadził, przygotowywało dekoracje do tych sztuk teatralnych i wieczorków patriotycznych.

Aby mieć z czego żyć, mój pradziadek pracował jako tłumacz. Babcia Ela powiedziała, że szczególnie zadowolony był z pracy w konsulacie francuskim. Konsula poznał, gdy śpiewał w chórze kościelnym, a konsul grał w tym czasie na organach. Od niego otrzymał lampę nocną w kształcie wieży Eiffla, która często była rekwizytem w przedstawieniach reżyserowanych przez pradziadka Mariana. Ta zgrabna pamiątka zdobi nasz dom w Wielgowie.

W gimnazjum pradziadek poznał swoją przyszłą żonę, Janinę Drózdź, z którą w 1944 r. wziął ślub w Harbinie.

Babcia opowiedziała mi więcej szczegółów z życia rodzinnego. Prapradziadek Antoni Drózdź z żoną Katarzyną i roczną córką Felicją przybyli do Chin w 1909 roku. Kraj ten zrobił na nich wielkie wrażenie, wszystko było tam ogromne – góry, rzeki (pełne dziwnych ryb), przybysze zobaczyli nieznane im rośliny i zwierzęta. Klimat wyróżniał się bardzo ostrymi zimami i upalnymi latami. Pradziadek Antoni jako poddany cara pracował i mieszkał na wielu stacjach kolejowych Mandżurii. Ostatecznie osiedlił się w Harbinie.

Przodkowie babci nawiązywali w miejscach zamieszkania (na stacjach kolejowych) życzliwe, a nawet serdeczne kontakty z Chińczykami i Mongolami. Nasza praprababcia Katarzyna zawsze w chiński Nowy Rok urządziła przyjęcie dla miejscowych kobiet (mężczyźni bawili się osobno). Z chińskimi sąsiadkami wymieniała się przepisami kulinarnymi. Chińczycy przychodzili do naszej rodziny na obchody polskich świąt, uczestniczyli w procesjach Bożego Ciała, pogrzebach, ślubach. Dwa razy do roku w mieszkaniu Drózdźów ksiądz odprowadzał mszę świętą, chińscy przyjaciele, choć nie byli katolikami, to brali w niej udział. A wszystko to z sympatii i szacunku dla naszych polskich tradycji i dla zaprzyjaźnionych Polaków. Ojciec pradziadka Mariana również był osobą

wysoko wykształconą. Dlatego znalazł pracę w Urzędzie Miejskim w Harbinie.

Stosunki z Chińczykami układały się bardzo dobrze. Stały kontakt z miejscowymi nasza rodzina miała poprzez handel obnośny. Zamówić można było wszystko – żywność, tkaniny czy choinkę na Boże Narodzenie, do domu przychodził chiński fryzjer czy szewc. Babcia Ela wspomniała nawet dalekiego krewnego, który ożenił się z Chinką. Po odzyskaniu niepodległości przez Polskę w 1918 roku w Harbinie został otwarty polski konsul. Niestety, bolszewicy w 1924 roku podpisali z Chinami układ o tym, że na kolei mogą pracować tylko Chińczycy i Rosjanie. Zmusiło to wielu Polaków do wyjazdu z Mandżurii.

Sytuacja naszych przodków w Chinach pogorszyła się jeszcze bardziej w połowie lat trzydziestych XX wieku, gdy Mandżurię zajęli Japończycy. Dla Harbinu nastal czas okrucieństwa i brutalnych morderstw dokonywanych przez okupantów.

Japończycy traktowali harbińskich Polaków nieufnie, gdyż rząd Polski przystąpił do koalicji antyfaszystowskiej. Władze okupacyjne zamknęły polskie gimnazjum. Pradziadek Marian z grupą nauczycieli potajemnie kontynuował nauczanie w domach prywatnych. Liczba uczniów zmniejszyła się. Po wojnie w 1945 roku ponownie otwarto polskie gimnazjum. Niestety jego sytuacja stała się dramatyczna, brakowało wszystkiego, najgorsze, że nauczyciele i uczniowie się „rozpierzchli”. Pradziadek po wręczeniu ostatnich czterech świadectw maturalnych w 1949 roku z rodziną wsiadł na statek, który zawiózł Polaków do ojczyzny.

Podziwiam mojego pradziadka Mariana za wytrwałość w zdobywaniu wykształcenia, za pracowitość, za aktywność społeczną i za to, że choć był bardzo młody, to wiedział, co ma w danym czasie robić. Nie marnował swoich talentów. Na koniec babcia Ela zostawiła ciekawostkę. Ten wspaniały serwis do herbaty, przy którym siedzimy, pradziadek Marian kupił za swoją pierwszą skromną, nauczycielską pensję. Kupował też inne piękne przedmioty, jakie zauważył w Chinach. Do tego kompletu ze szlachetnej porcelany dokupił ozdobny stolik, jest on obecnie własnością naszej rodziny z Olsztyna. Podkreślał, że praca z dyplomatami z konsulatu francuskiego uwrażliwiła go na to, co piękne.

Tego dnia przeniosłem się z babcią Elą do tajemniczej krainy chińskiego smoka i nie wiem, czy mi się tylko zdawało, czy rzeczywiście tak było, ale oczy potwora z chińskiej filizanki lśniły jeszcze mocniejszym blaskiem. A może to

tylko moje oczy zabłysły do tej starej pamiętki?

Dwunastu z Harbinu, historia wujka Stanisława

I znowu minął tydzień nauki szkolnej. Piątkowy wieczór będzie mój i mojej babci Eli. Zjawiłem się o „świętej” godzinie osiemnastej. Nic mnie nie zaskoczyło. Stolik jak zwykle był przyścielony na biało, na nim znajdowały się nasze chińskie filiżanki, dzbanuszek, ciasteczka – elegancja. Babcia już na progu powiedziała, że temat dzisiejszego spotkania będzie jak z filmu sensacyjnego. Opowie mi o jej wujku Staszku Dróždzu, który przedarł się z okupowanych przez Japończyków Chin do walczącej z faszystami Europy. Ale po kolei.

Znienawidzeni przez Chińczyków japońscy faszyci od końca lat trzydziestych XX wieku podbijali coraz to nowe obszary Dalekiego Wschodu. W Europie ich sprzymierzeńcami byli niemieccy i włoscy faszyci, którzy zajmowali coraz to nowe obszary. Najgorsze było to, że ofiarą hitlerowców i komunistów z ZSRR została nasza ojczyzna. Polskę zajęto, ale nie pokonano. Polscy harbińczycy walkę o wolność ojczyzny traktowali jako swój patriotyczny obowiązek. Prawie cała polska młodzież zgłosiła się do Konsulatu RP. Ze względu na trudności finansowe ograniczono liczbę ochotników (rodowitych harbińczyków) do dwunastu chętnych, którym miejscowi Polacy sfinansowali koszty podróży. W taki sposób nasz wujek, Stanisław Dróždź, mając 19 lat rozpoczął podróż do wojska, by walczyć o Polskę, w której nigdy nie był.

Od 1 maja 1940 roku co kilka dni w podróż wyruszało po kilka osób najpierw pociągiem z Harbinu do Dajrenu, a potem statkiem do Szanghaju. Na statku japońskim prowadzący wojnę Japończycy wypytywali ich, czy nie wybierają się do wrogiego wojska, na co Polacy odpowiadali, że jadą na studia lub w poszukiwaniu pracy. Po przybyciu do Szanghaju 8 maja 1940 roku wujek z kolegami udał się statkiem do Marsylii we Francji. Po kilku miesiącach podróży morskiej został przerzucony do Syrii, gdzie otrzymał przydział do Brygady Strzelców Karpackich. W październiku 1940 r. został skierowany do Egiptu. W sierpniu 1941 roku jego Brygada przepłynęła do Tobruku, aby wspierać w walkach oddziały brytyjskie. Po zwycięskim zakończeniu walk pod Tobrukiem w Libii harbińczyków rozdzielono do różnych szkół wojskowych. Wujek Staszek ukończył podchorążówkę piechoty.

Z Brygady Strzelców Karpackich uformowała się wtedy 3. Dywizja Strzelców Karpackich, w której służył wujek Staszek. Po wielkich manewrach

2. Korpusu w Palestynie, nowoczesnie wyposażone wojsko załadowano na statki w Aleksandrii i w konwojach skierowano do Włoch. Wujek babci Eli, Stanisław Drózdź brał udział w walkach o wyzwolenie Włoch spod rządów faszystowskich, walczył na szlaku Bari – Monte Cassino – Loretto – Bolonia – Mediolan. W Bolonii został po raz drugi odznaczony Krzyżem Walecznych. Najważniejszą i najsłynniejszą była bitwa w środkowych Włoszech pod Monte Cassino. W ośnieżonych górach, w wielkiej tajemnicy Korpus Polski zajął stanowisko pod klasztorem Monte Cassino. Niemcy zadali tam ogromne straty atakującym kolejno Amerykanom, Francuzom, Brytyjczykom i Nowozelandczykom. W słynnej czwartej, zwycięskiej polskiej bitwie o klasztor i otwarcie drogi do Rzymu wzięli udział nasi ochotnicy z Dalekiego Wschodu.

Melchior Wańkowicz w „Szkicach spod Monte Cassino” napisał też o bohaterstwie Polaków, którzy nigdy nie widzieli swojej ojczyzny, a za bohaterstwo zostali odznaczeni krzyżami *Virtuti Militari*. Jestem bardzo dumny z tego, że pisarz wymienił mojego wujka Staszka Drózdza, który na czele siedmioosobowego patrolu zdobył miasteczko Castel Fidardo, słynne z wyrobu akordeonów. Babcią powiedziała, że harbińcy dobrze zdali wojenny egzamin. Bitwa o Monte Cassino uznana została za jedną z najcięższych bitew II wojny światowej, a słynna pieśń żołnierska „Czerwone maki na Monte Cassino” stała się znana w Polsce i w wielu innych krajach. Ja jeszcze przed poznaniem historii wujka Staszka Drózdza znałem tę pieśń. Nauczył mnie jej dziadek Staś z Żar koło Zielonej Góry, a z babcią Elą często ją śpiewamy w naszym domu. Zacząłem uczyć się grać na gitarze i myślę, że wkrótce cała rodzina będzie śpiewać „Czerwone maki” przy moim akompaniamencie.

Ale wróćę do postaci naszego rodzinnego bohatera. Już na początku walk we Włoszech wujek poznał piękną i mądrą dziewczynę – Albę Vasco. Wojenna miłość nie jest łatwa. Wujek Staszek przecież walczył na froncie, aż do wyzwolenia całej Italii. We wrześniu 1945 roku jego dywizja została rozwiązana w Anglii, ponieważ podlegała polskiemu rządowi w Londynie. Stanisław Drózdź podjął wtedy kolejną odważną decyzję, tym razem jako cywil. Przy pomocy Centrum Polskiego rozpoczął w lipcu 1946 roku w Londynie sześcioletnie studia ekonomiczne z zakresu ubezpieczeń. Również w Londynie studia medyczne rozpoczęła jego ukochana Alba. Oboje doskonale znali język angielski. Zaraz po zdobyciu dyplomów w 1952 roku młodzi zawarli małżeństwo. Wujek Staszek podjął pracę w dużym towarzystwie ubezpieczeniowym w dziale zagranicznym, w interesach podróżował po całym świecie. W latach sześćdziesiątych XX wieku państwo Drózdzowie przenieśli się do Rzymu,

rodzinnego miasta Alby. Wujek Stanisław nadal pracował w ubezpieczeniach, a w swoich podróżach służbowych odwiedził nawet Harbin, ciocia Alba pracowała jako lekarz.

Krewni mieli okazję spotkać się z rodziną Dróżdźów z Rzymu w 1992 r. Dróżdźowie przyjechali wówczas na uroczyste obchody 50-lecia 3. Dywizji Strzelców Karpackich. Po uroczystościach w Warszawie goście z Włoch przyjechali do Szczecina. Wreszcie doszło do tak długo oczekiwanego spotkania rodzinnego. Były to niezapomniane chwile w gronie najbliższych, a tych którzy nie doczekali, rodzina odwiedziła wspólnie na cmentarzu. Rozmowom nie było końca. Swoje wrażenia i przeżycia wujek opisał we wspomnieniach z podróży do Polski. Relacjonował też to ważne kombatanckie wydarzenie w wywiadzie dla Polskiego Radia Szczecin.

Była to jego pierwsza i ostatnia wizyta w Polsce. A moi rodzice – Michał i Joanna kilka razy odwiedzali ciocię Albę w jej rzymskim domu. Z każdej podróży przywozili wspaniałe wspomnienia. Rodzice podziwiali ciocię, że po wojnie z miłości do swojego męża nauczyła się języka polskiego. Wielkie wrażenie wywierała piękna polszczyzna i siła jej polskiego patriotyzmu. Babcia Ela ma rację. Historia naszego bohatera – wujka Staszka – nie ustępuje Bondowi, agentowi 007. Wujkowi należy się tytuł odcinka „Świat to za mało...”. Tylko nazwisko Dróżdź nie przeszłoby w angielskiej wersji językowej.

Pora wracać...

Kolejny piątek był ostatnim dniem naszych spotkań przy chińskiej herbatce, który poświęciliśmy przygotowaniu pracy konkursowej. Nie wątpię, że i ten wieczór będzie miał uroczysty charakter. Gdy pojawiłem się na pieterku o godzinie 18.00, wszystko było jak należy: stolik pokryty białą serwetą, serwis chiński z aromatyczną herbatą, ciasteczka czekały na schrupanie. Babcia Ela rozłożyła ręce ze słowami: „Dzisiaj zakończymy naszą podróż po Chinach, dobijemy do brzegu Odry i zacumujemy w Szczecinie”.

Swoją opowieść babcia zaczęła od tego, że początkowo życie mieszkańców Harbinu było szczęśliwą bajką. W latach trzydziestych XX wieku bolszewicy wśród Chińczyków zaczęli robić zamieszanie, powstały pewne kłopoty z pracą na kolei. Ale prawdziwym koszmarem zwłaszcza dla Chińczyków stała się okupacja japońska. Polacy – obcy rasowo – podejrzani o sympatyzowanie z wrogami, zaczęli wyjeżdżać na spokojniejsze tereny. W 1944 roku Japończycy zamknęły polskie szkoły. Sytuacji nie poprawiło wkroczenie w połowie 1945

roku na te tereny Rosjan. Polskie szkoły nie miały pieniędzy na opłacanie nauczycieli ani na utrzymanie budynków, uczniów było niewiele. Kłopoty te przeżywał pradziadek Marian Dudek, który nie zważając na głodowe pensje, walczył o utrzymanie polskiego gimnazjum. Z powodu braku nauczycieli pradziadek Marian w latach 1945–1949 uczył nie tylko języka polskiego, ale również języka angielskiego, języka chińskiego, historii, geografii, prowadził zajęcia wyrównawcze mające na celu przygotowanie maturzystów.

Wśród tych, którzy pozostali w Mandżurii, nasiliła się tęsknota za ojczyzną oraz chęć wyjazdu do innych krajów, w których już zamieszkali ich krewni. Władze polskie zorganizowały w 1949 roku, na krótko przed wybuchem w Chinach rewolucji komunistycznej, kilka akcji ewakuacyjnych do ojczyzny. Skorzystała z nich połowa z 3 tysięcy mieszkających w Harbinie Polaków, druga połowa wyjechała do USA, Kanady, Australii, Brazylii, Izraela i innych państw. W połowie 1949 roku pradziadek Marian i jego rodzina zapisali się na pierwszy transport do Polski. Podróż odbyli pociągiem. Trwała ona 6 tygodni. Pozostałe transporty były kierowane drogą morską, płynęły trzy miesiące.

Pradziadek Marian długo wspominał serdeczne pożegnanie, jakie Chińczycy zorganizowali wyjeżdżającym Polakom (a nie jest to naród chętny do okazywania uczuć). Na dworzec kolejowy przyszły tłumy mieszkańców miasta z transparentami głoszącymi wieczną przyjaźń obu narodów. Wagony Polaków zostały udekorowane kwiatami.

Rodzina Dudków i Drózdów podróżowała ze skromnym dobytkiem przez Rosję nazywaną wtedy Związkiem Radzieckim. Kontrolerzy radzieccy wiele razy podczas tej półtoramiesięcznej podróży przeszukiwali bagaże, palili książki i zdjęcia. Zabierali sobie wyroby ze złota. Serwis do herbaty i drobne, choć delikatne przedmioty zawinięte w papier były poukładane w kufrze wśród ubrań. Niestety podczas przeszukania trzy filizanki uległy zniszczeniu. Babcia Ela wspomniała, że w trakcie kontroli małemu uszkodzeniu uległa również francuska lampka w kształcie wieży Eiffla. Pozostałe chińskie pamiątki cieszą oczy mieszkańców naszego domu w Wielgowie.

Siostra pradziadka Mariana, Irena, wyjechała do Brazylii. Po kilku latach przeprowadziła się do USA, z mężem mieszkała w San Francisco. Część rodziny osiadła w Olsztynie, ale większość przyjechała do Szczecina.

Po czterdziestu latach skomplikowana historia moich przodków zatoczyła koło: z ziem polskich do chińskiego Harbinu, a następnie do polskiego Szczecina. Jest nam tu dobrze. Ale Chiny na zawsze pozostaną w naszych sercach. A po tych kilku spotkaniach u babci moje zainteresowanie

dziejami rodziny jeszcze wzrosło. Po zakończeniu naszego ostatniego spotkania herbaciany serwis ze smokami wrócił na swoje stare miejsce w kredensie. Mam nadzieję, że babcia jeszcze wiele razy sięgnie po te piękne filiżanki i znowu będziemy rozmawiać o dziejach naszej rodziny – mojej rodziny. Spodziewam się, że kiedyś babcia Ela ten piękny porcelanowy serwis do herbaty i wszystkie skarby z Chin przekaże właśnie mnie. A ja w przyszłości jako dziadek Aleksander opowiem ich historię swoim wnukom. To dopiero będzie sensacja!



Dagna Nienałowska

Szkoła Podstawowa nr 7 im. Zjednoczonej Europy w Kolobrzegu

Zaczarowany kufel



Jest wiele pamiątek i bibelotów w moim domu. Są rzeczy piękne, stare, nowe, a nawet takie, które ocierają się o kicz. Ściany zdobią zdjęcia z podróży, na półkach są różne souvenirs, które przypominają domownikom rodzinne wydarzenia.

Jednak jest pamiątka, która stanowi w moim domu swoiste sacrum. Stoi dumnie w salonie na komodzie i jest czymś, co zawsze było w rodzinie mojego taty.

To kolorowy kufel. Ciężki, gliniany i pięknie zdobiony, obserwuje nas od zawsze. Widnieją na nim staroniemieckie napisy przypominające styl gotycki. Część zdobień jest wypukła. Na dole ukazane są sceny z ówczesnego życia społeczności niemieckiej. Jednak główny plan zajmuje postać dumnie stojącego wojownika, który trzyma czerwono-biało-czarną flagę (kolory trzech miast hanzeatyckich: Hamburga, Bremy, Lubeki) – symbol Związku Północnoniemieckiego, a w drugiej dłoni czarno-białą flagę oznaczającą pułk. Po jego prawej stronie na żółto-zielonym tle ukazani są wojownicy na pięknych, silnych, galopujących koniach. Wojownicy przypominają starożytnych herosów. Scena jest ukazana w taki sposób, że można odnieść wrażenie realności, zamyka ją napis: Pasewalk. 1911-14.

Historia mówi, że to najprawdopodobniej wizerunek kirasjerów z Pasewalka, którzy walczyli podczas I wojny światowej. Do służby w tej formacji kierowano najbardziej roslých kawalerzystów oraz przekazywano największe i najsilniejsze konie. Wszyscy mają na sobie szaro-srebrne, mieniące się w świetle kirysy. Głowy zdobią stalowe helmy z daszkiem i miedzianym grzbietem. Zwieńczeniem jest włosiany pędzelek i czarny ogon z końskiego włosia. Wszyscy trzymają powiewające czarno-białe flagi, które symbolizują ich pułk. Lewa strona kufła, to pożegnanie wojowników. Widać przepiękne, wzruszające sceny czułych pocałunków kochanków. Wiotkie pożegnania są niczym wyjęte z baśni. Całość stanowi cudną panoramę ówczesnego życia mieszkańców, sąsiadujących z naszym dzisiejszym województwem.

Ale skąd ten kufel? Dlaczego jest tak ważny, skoro nie mamy w naszej rodzinie niemieckich przodków? Zarówno ja, jak i wcześniej moja siostra, nie raz dopytywałyśmy tatę o pochodzenie kufła. Otóż, mój dziadek Marian, pochodził z okolic Kielc. Był małym chłopcem, który przeżył II wojnę światową. Kiedy wojna się skończyła, a dziadek ukończył szkołę podstawową, rozpoczął naukę w szkole felczerskiej w Częstochowie. Do dziś moje ciotki wspominają, że dziadek chętnie wracał pamięcią do chwil spędzonych w „felczerce”. Po ukończeniu szkoły i zdobyciu kwalifikacji felczera,

mój dziadek trafił z tzw. nakazu pracy do malutkiej miejscowości Jarkowo – dziś gmina Rymań – i tam pracował jako felczer. Dziadek był szczęśliwy, bo jako człowiek, który wychował się podczas wojny i świadek bolesnych wydarzeń, zawsze chciał leczyć – tak wspominają go moje ciotki i tata. Nie było wtedy żadnego ośrodka zdrowia, tylko punkt felczerski – niewielki pokój z sionką w jednym z domów. Dziadek poznał tam moją babcię Danusię, która do Jarkowa trafiła również z nakazu pracy jako nauczycielka. Zakochali się w sobie, pobrali i już jako małżeństwo przenieśli do większej miejscowości Charzyno – dziś gmina Siemysł.

Otrzymali dom, w którym dziadek urządził punkt felczerski oraz mieszkanie dla swojej rodziny. To właśnie w Charzynie znaleziony został zaczarowany kufel. Kiedy dziadek porządkował stary dom, na zakurzonego strychu, pod deskami leżał szczelnie otulony i wypchany szmatami, stary, poniemiecki kufel. Ktoś, kto go schował liczył na to, że kiedyś tam wróci i odzyska swoją pamiątkę.



Dom przed II wojną światową i współcześnie

To niewątpliwie ślad tego, że w dzisiejszym Charzynie, w którym mój dziadek najpierw jako felczer, a później jako lekarz, pomagał innym, spotykają się historie dwóch narodów. Do 1945 roku nazwa Charzyno brzmiała – Garrin, to była zwykła wieś, jakich wiele. Wieś, w której też mieszkali ludzie, ze swoimi troskami, radościami, mieli pachnące chlebem domy, które musieli opuścić. Ta opowieść pokazuje mi, że ofiarami każdej wojny są zwykli ludzie. Ich losy czasami zamykają się w kuflu, który na swój sposób jest czarodziejski, bo jest znakiem pamięci i tożsamości. Ten nasz jest historią mojej rodziny ale również tej, która opuściła późniejszy dom moich dziadków.



Liliana Kalinowska

Szkoła Podstawowa nr 48 im. Kawalerów Orderu Uśmiechu w Szczecinie

Szafa z historią



Pamiętam takie urywki z wczesnego dzieciństwa... Ja bawiąca się lalkami w pokoju bibliotecznym mojego dziadka. Ja i mój śpiący, malutki braciszek w tym samym pokoju u dziadków. Ja roześmiana gwałtownie wpadająca do pokoju, w którym siedzi dziadek i czyta książki. Biblioteka dziadka. Mnóstwo książek na regałach, fotele i szafa. Szafa, która zawsze, według mnie, nie pasowała do tego wnętrza. Była jak przeniesiony zupełnie z innej epoki wielki kloc.

Kiedy trochę podrosłam, zapytałam dziadków, dlaczego, mając tak pięknie, nowoczesnie umeblowany dom, trzymają taką brzydka, wielką, do niczego niepasującą szafę. Wtedy to dowiedziałam się czym jest pamiątka rodzinna i jakie ma znaczenie dla ludzi, którzy stracili już swoich ukochanych przodków, a posiadanie po nich pamiątek jest rodzajem ukojenia, takim namacalnym elementem łączącym ich z nimi.

Dziadek zaczął swoją opowieść od tego, że sam pamięta tę szafę ze swojego dzieciństwa, jako mebel, który był w jego domu rodzinnym od zawsze. Nie wyglądała ona tak, jak wygląda teraz. Przeszła renowację, ale historia uwięziona w jej sękach nadal wybrzmiewa i brzmieć będzie, dopóki kolejne pokolenia zachowają pamięć. Opowiedział, jak któregoś razu, gdy miał zaledwie 6 lat, jego ojciec, mój pradziadek, przyprowadził do ich mieszkania ранego mężczyznę, który po przestąpieniu progu osunął się na podłogę i nie był w stanie się podnieść. Dziadek pamiętał, jak jego mama była przerażona, że mój pradziadek postanowił pomóc temu człowiekowi, który okazał się Żydem. Był rok 1943, trwała druga wojna światowa i każda pomoc narodowi żydowskiemu była karana w stopniu najwyższym – śmiercią. Pradziadek Bronisław, który za wojnę polsko-bolszewicką w latach 1918-1921 został nagrodzony Krzyżem, nie zawahał się ani przez chwilę pomóc temu człowiekowi. Pobiegł po dwóch mieszkających po sąsiedzku mężczyzn, którzy po przyjściu do mieszkania wraz z pradziadkiem zdjęli drzwi z szafy stojącej w salonie i wynieśli na niej jak na noszach ledwo żywego człowieka. Wszystko odbywało się pod osłoną nocy, było zimno i niebezpiecznie. Mężczyźni ryzykowali swoje życie, ale czuli się odpowiedzialni za losy młodego Żyda. Postanowili zanieść go do nieopodal mieszkającego, zaprzyjaźnionego lekarza w celu uzyskania pomocy. Dziadek, niestety, nie pamięta, jak zakończyła się ta historia, czy młody mężczyzna przeżył. Pamięta natomiast, że drzwi od szafy wróciły na swoje miejsce, ale po stronie wewnętrznej miały brunatne plamy krwi. Prababcia próbowała je zmyć, podobno bardzo starannie czyściła tę powierzchnię, ale krew mocno wniknęła między warstwy drewna. Przez długi czas przypominały one o odwadze i bohaterstwie mojego pradziadka.

Napawały dumą mojego dziadka.

Jak już wspomniałam, dziś szafa wygląda zupełnie inaczej niż przed laty. Z biegiem czasu ktoś postanowił ją odrestaurować, unowocześnić. Być może uległ modzie. Obecnie ma przeszklenie, ozdobne drzwi, ranty i obłogi. Kiedyś była prostsza, taka zwykła. Miała ślady historii, tragedii jednostki. Tym samym były to fizyczne dowody na męstwo i odwagę mojego przodka. Być może kiedyś postanowie zedrzeć warstwy lakieru z tych jednych drzwi. Jestem pewna, że gdzieś tam głęboko, w wewnętrznych warstwach deski kryje się pamięć o minionych wydarzeniach, pamięć o wielkim człowieczeństwie jednostki.



Borys Dacewicz
Publiczna Szkoła Podstawowa w Bezzreczu

Płomień świąt



Tradycją w mojej rodzinie jest spożywanie wieczerzy wigilijnej w domu moich dziadków. Świąteczny stół jest wtedy przyozdobiony świecznikami, z których jeden jest szczególnie wyjątkowy. Zawsze wylawiam go okiem z suto zastawianego stołu. Odkąd pamiętam ten świecznik intrygował mnie swoją okazałością oraz nietypowym kolorem. W zestawieniu ze świeczkami wykonanymi ze śnieżnobiałego wosku, wyglądał niczym ośnieżony szczyt górski nad dolinami. Jest on siedmioramienny oraz, ku zdziwieniu oglądających, w połowie srebrny, a w połowie złoty. Co prawda, mimo moich wyobrażeń, jest on świecznikiem, który oświetla stojące na stole potrawy, tak samo jak inne świeczniki, którymi dziadek przyozdabia stół wigilijny. Mimo to wewnętrznie czulem, że jest on owiany jakąś historią lub nawet tajemnicą...

Z tego powodu po ostatnim okresie świąteczno-noworocznym poprosiłem dziadka o opowiedzenie mi historii świecznika, który tak bardzo mnie intryguje. A opowieść ta jest wyjątkowo ciekawa. Pozwólcie proszę, że Wam ją choć w skrócie przybliżę.

W roku 1944, w czasie II wojny światowej, a konkretnie powstania warszawskiego, stryj mojego dziadka, Stanisław, skrył się z sąsiadami w pobliskiej synagodze. Miał wtedy około 15 lat. Niemcy strzelali z dział i karabinów maszynowych, był wtedy okropny, wręcz ogłuszający huk. Okupanci chcieli zastrzelić każdego, kto skrył się we wnętrzu żydowskiej świątyni zwanej synagogą. Było to jednym z powodów ataku na budynek. Stanisław słyszał nieustanny terkot karabinów maszynowych. Sparaliżowany wszechogarniającym hałasem stał i patrzył, jak synagoga stopniowo wali się. Kawalki szkła cięły powietrze obok młodzieńca, całe wyposażenie świątyni słało wtedy podłogę niczym dywan. Huk w uszach wzrastał, było slychać lament kobiet, płacz dzieci. Ostrzał narastał z każdą chwilą, odłamki szkła oraz kawalki tynku zaczęły sypać się na głowy zgromadzonych w miejscu modlitwy. Każdy zmagal się z myślą, że to już jego ostatnie chwile. W ustach czulo się nieprzyjemny smak cynku, a w oczy przedostawał się pył z pokruszonych cegieł. Ludzie byli gotowi zrobić wszystko, aby tylko życie swe ratować. Kiedy zdawało się, że tracą grunt pod nogami, Stanisław, aby mieć się czego trzymać, złapał się leżącego niedaleko przedmiotu: okazał się nim kawalek ceremonialnego świecznika. Stanisław bał się, że umrze tu i teraz, a także, że nikt już nigdy nawet jego ciała nie odnajdzie pod gruzami zburzonej synagogi. Bał się, że zginie straszną śmiercią, a potem nawet go nikt nie pochowa. Wziął więc świecznik i w strachu przykrył nim swoją twarz. Myślał o najszcześniejszych chwilach swojego życia, które, jak mu się wydawało, zaraz się skończy. W tym też

momencie, przez okno wpadła karabinowa kula i... odbiła się od świecznika, którym zasłaniał się Stanisław! Chłopak jakby usłyszał dzwon, a przedmiot wciąż wibrował w jego dłoniach – taka była siła uderzenia. Gdyby Stanisław tego świecznika nie trzymał, już by nie żył.

Miała jeszcze minąć długa godzina, zanim piekielne bombardowanie się skończy. Nastolatek znalazł lepszą osłonę i tak czekał na koniec bombardowania.

Nareszcie! Euforii nie było końca: ostrzał się skończył! Mimo to entuzjazm studziła obecność zwłok tych, którym nie było dane tej radosnej chwili dożyć. Radość nie oznaczała jednak szczęścia, a co za tym idzie wolności i zwycięstwa. Powstańcy ponieśli wielkie straty, prawie wszystkie dzielnice w Warszawie zajęli Niemcy, a Pierwsza Brygada Spadochronowa, która została stworzona do pomocy powstańczemu miastu, miała już nigdy stolicy nie zobaczyć... Alianccy generałowie, którzy brygadzie ufundowali samoloty, broń oraz zaopatrzenie, mieli wobec niej inne plany... niebawem miała się rozpocząć operacja o kryptonimie „Market Garden”.

Niedługo potem powstanie upadło, a na umęczoną Warszawę spadły liczne represje. Stolicę zrównano z ziemią, a powstańców zsyłano do obozów koncentracyjnych lub na miejscu rozstrzeliwano... Terror na ulicach stał się normą. Każdy mieszkaniec nie mógł być pewien, czy dożyje kolejnego dnia. Przywódca III Rzeszy chciał pokazać potęgę swojej armii oraz zastraszyć tych, którzy również chcieliby się zbuntować lub zorganizować kolejne powstanie. Mimo, iż stryj Stanisław był uczestnikiem powstania, nie został zesłany. Jemu się udało. Jednak wielu z jego towarzyszy, którzy w synagodze byli razem z nim, zginęło rozstrzelanych, bądź zostało wysłanych do obozów koncentracyjnych.

Po wojnie stryj Stanisław długo szukał lutnika-rzemieślnika, który wykonałby dla niego bardzo specyficzną pracę. Stryj dziadka znalazł bowiem mogącą pasować dolną część innego świecznika w miejsce utraconej dolnej części świecznika biorącego udział w ostrzale Kościoła Świętego Krzyża. W trakcie ostrzału seria karabinu maszynowego przeleciała przez cały ołtarz przecinając na pół stojący na nim srebrny świecznik. Po ostrzale dolną część świecznika znalazł Stanisław, a górnej nigdy nie odnaleziono. Znaleźisko stryja było równie ciężkie, co swym wyglądem przerażające, jak świecznik z synagogi. Rzemieślnik wybrany przez stryja Stanisława złutował górną część szczęśliwego świecznika z synagogi, z podstawą znalezionej srebrnej precjoza. Praca była długa i trudna, a to z powodu starego materiału. Mój dziadek

prosił lutnika, aby zamiast poprawiać, to przypadkiem nie zniszczył świecznika. Kiedy lutnik dokończył swoje dzieło, tak powstałego dwukolorowego świecznika stryj dziadka używał podczas każdych świąt Bożego Narodzenia. Stanowił dla niego wyjątkowy symbol własnego powtórnego narodzenia, darowanego mu drugiego życia otrzymanego we wspomnianej synagodze.

Niedługo po wojnie także urodził się mój dziadek. Po osiągnięciu wieku dorosłego mój dziadek założył rodzinę i dostał pracę jako nauczyciel. Wtedy też stryj Stanisław podarował mu ten niepowtarzalny, owiany historią świecznik.

Bartosz Dobruchowski
Szkoła Podstawowa w Kobylance

Pamiętki historyczne z bitwy pod Monte Cassino



Od lewej: Leon Pilch l.35, pradziadek Jan Tadaszak l.39, Stefan Lengowski l.20

W mojej rodzinie jest bardzo dużo historycznych pamiątek i opowieści, lecz najciekawsze pochodzą z okresu II wojny światowej z bitwy pod Monte Cassino.

W domu mojego dziadka, odkąd tylko sięgam pamięcią, wisiał na ścianie piękny, duży obraz. Nigdy nie interesowałem się tym, co na nim jest zamieszczone i skąd on się tam wziął. Gdy nadszedł sprawdzian z historii, w którym znalazł się temat o bitwie pod Monte Cassino, dostrzegłem, że obraz ma z tym tematem wiele wspólnego. Zapytałem mojego dziadka Wojtka, co właściwie przedstawia ów obraz i jak się znalazł w jego domu. Dziadek uśmiechnął się od ucha do ucha i powiedział:

– Wnuczku, to jest najwspanialsza pamiątka po twoim pradziadku i dopóty będę żył, ten obraz będzie tu wisiał.

I zaczął opowieść, ale nim ją Wam przekażę, zacznę od krótkiej historii życia mojego pradziadka.

Krótką historia życia pradziadka

Mój pradziadek Jan Tadaszak urodził się 12 czerwca 1907 r. w Niemczech w miejscowości Duisburg. Posiadał obywatelstwo polskie. Jako dziecko mieszkał z rodzicami na terenach pruskich w miejscowości Zblewo. W 1925 r. został powołany do polskiego wojska w celu odbycia obowiązkowej służby. Był to wrzesień, zaraz po żniwach. W 1933 r. ożenił się z Franciszką Koppe i razem zamieszkali w miejscowości Kamierowo w gminie Skarszewy. Doczekali się czworga potomków – jednego syna i trzech córek. Spokojne wiejskie życie zakończył wybuch II wojny światowej. Przedtem, w sierpniu 1939 r., pradziadek został powołany do wojska do Grudziądza. Miał wtedy zaledwie 26 lat. W kampanii wrześniowej jego pułk walczył w Armii “Pomorze” w Pomorskiej Brygadzie Kawalerii: 1 września 1939 r. w bitwie pod Krojantami koło Chojnic, 4 września pułk został rozbity i przestał istnieć jako samodzielna jednostka. Żołnierze walczyli w bitwie nad Bzurą. Jedynie nielicznym udało się przebić do Warszawy, natomiast pradziadek dostał się do rosyjskiej niewoli. W 1941 r., kiedy powołano Armię Andersa, zgłosił się jako ochotnik aby przejść cały szlak bojowy. Trafił do 3. Dywizji Strzelców Karpackich, 12. Pułku Ułanów Podolskich. Sformowanie przypadło na 1942 r.

Na przelomie lat 1942/1943 dywizja pradziadka została przeniesiona do Włoch, gdzie zaczęła walczyć w najsłynniejszych bitwach. Pierwszą z nich była bitwa pod Monte Cassino, w której kluczowym punktem obrony był klasztor.

Walki trwały od 11 do 29 maja 1944 r. Mimo że nie udało się ochronić klasztoru, pułk pradziadka 29 maja umieścił na jego ruinach białą-czerwoną flagę, która oznaczała, że pozbyto się wojsk niemieckich z okupowanego terenu.

Historia pamiątkowej kartki

Pradziadek skorzystał z szansy wysłania swojemu synowi pamiątkowej kartki – panoramy z widokiem pomnika 3. DSK i ruinami klasztoru Monte Cassino. Panorama ta woryginale do dzisiaj jest pamiątką rodzinną, która przechodzi z pokolenia na pokolenie. Była ona tak interesująca, że mój tata – fotograf wywołał ją w wielkim formacie i oprawił. Przez wiele lat obraz ten wisiał w salonie w centralnym punkcie. Pamiętam jak dzisiaj, że gdy zbieraliśmy się wszyscy w czasie świąt Bożego Narodzenia u moich rodziców, często wspominało się pradziadka. Wówczas w oczach dziadka często pojawiały się łzy. Była to ostatnia pamiątka po pradziadku, która trafiła w ręce rodziny.



Kolejną informacją, która dotarła do rodziny, była ta o jego śmierci. Tym ciężiej było ją znieść, ponieważ czerwiec 1946 r. miał być wyjątkowym miesiącem. Był to czas, w którym pradziadek obchodził urodziny (12.06), imieniny (24.06) oraz dostał informację o transporcie do Wielkiej Brytanii. Tam oddział miał zostać zdemobilizowany. Jednak dla Jana ten szczęśliwy miesiąc przerodził się w tragedię. Po informacji o planowanym powrocie wraz z dwoma najbliższymi towarzyszami poszli świętować. Byli nimi Stefan

Lengowski, strzelec mający wtedy zaledwie 20 lat oraz Leon Pilch, starszy strzelec w wieku 35 lat. W drodze powrotnej trafili na minę, która rozszarpała ich ciała na miejscu. Śmierć ponieśli 24 czerwca 1946 r. Zostali pochowani na cmentarzu wojskowym w Bolonii we Włoszech. Pradziadek omyłkowo został pochowany jako Jan Tadaszek, kapral 7. Pułku Ułanów Lubelskich. Jeszcze przed śmiercią 15 lutego 1945 r. został odznaczony pamiątkowym Krzyżem Monte Cassino oraz została mu wydana legitymacja upoważniająca do jego noszenia.

Kiedy pradziadek walczył na wojnie, prababcia pracowała u Niemców, którzy zajęli gminę Skarszewo w miesiąc po rozpoczęciu II wojny światowej. Po jej zakończeniu i informacji o śmierci ukochanego męża z czwórką dzieci wyprowadziła się do starszej siostry Apolonii, do rodzinnego domu w miejscowości Lipinki. Nigdy nie poślubiła innego mężczyzny, twierdząc, że tylko jednemu ślubowała miłość. Jestem dumny z wyborów moich przodków. Stali się oni dla mnie wzorem do naśladowania.

Myślę, że wielu z nas może znaleźć w swoim otoczeniu chociażby najmniejszą historyczną pamiątkę rodzinną, trzeba się tylko trochę rozej-



rzyć. Warto porozmawiać z naszymi krewnymi i powspominać dawne czasy. Często można usłyszeć bardzo ciekawe historie, z których możemy się wiele nauczyć, wyciągnąć ważne wnioski, a może nawet odkryć historię, która wyjaśni, dlaczego życie waszych bliskich potoczyło się właśnie tak. Ja sprawdziłem i wiem, że warto.

Franciszek Gawlik

Szkoła Podstawowa nr 6 im. Janusza Korczaka w Kolobrzegu

Rodzinna pamiątka – Order Odrodzenia Polski



Patriotyzm, poświęcenie dla ojczyzny i miłość do niej tak trudno zrozumieć w czasie pokoju. Moje pokolenie, wolne i szczęśliwe, wychowujące się w Polsce odbudowanej, odrodzonej i pięknej nie myśli o pokoleniu przodków. Oni niedawno walczyli z poświęceniem o Polskę niepodległą. Historia wydaje się zbyt odległa, nieznana, mało ciekawa... a przecież Ci, o których często nie pamiętamy, wywalczyli dla nas wolność. Znamy wielkich ludzi i ich czyny, uczymy się i dowiadujemy o ich dokonaniach, ale czy znamy historie rodzinne, własne pochodzenie i korzenie?

Krzysztof Kamil Baczyński przedstawiciel pokolenia Kolumbów pytał w wierszu: „czy nam postawią, z litości chociaż, nad grobem krzyż”, ale czy tylko poeta zadawał sobie takie pytanie, czy może nasi dziadkowie i pradziadkowie także zastanawiali się nad tym, jak następne pokolenia ocenią ich czyny... Czy docenią ich trud i poświęcenie? Nie zastanawiałem się nad tym dopóki nie znalazłem w rodzinnej biblioteczce śladów historii.

W moje ręce wpadła niewielka broszura opatrzona wzniosłymi słowami, które mnie zainteresowały: „Przyszliśmy, Morze, po ciężkim i krwawym trudzie”. W tej książce, jak się okazało, zostały upamiętnione osoby walczące o Kołobrzeg, które mieszkały później w naszym mieście. Odnalezienie tego wydawnictwa sprawiło, że poznałem czyny mojego pradziadka – Andrzeja Turkiewicza. Walczył o Kołobrzeg w marcu 1945 roku w 20. Pułku Artylerii Przeciwpancernej. Słowa, które pochodzą z Roty ślubowania Franciszka Niewidziajły, wypowiedziane 18 marca 1945 r. zapoczątkowały moje zainteresowanie rodzinną historią i pamiątką, którą także odnalazłem.

Trudne czasy II wojny światowej i losy mojej rodziny nigdy wcześniej mnie tak nie zaciekały, ale gdy przeczytałem o pierwszym samodzielnym zwycięstwie operacyjnym I Armii Wojska Polskiego w bitwie o Kołobrzeg, w której brał udział mój pradziadek, wszystko się zmieniło. Szukałem informacji, cennych wskazówek, przeprowadziłem wywiad wśród rodziny i otrzymałem przedmiot będący potwierdzeniem tego, że mój przodek zapisał kartę dziejów oręża polskiego.

Na dnie szuflady, pod mało znaczącymi rzeczami leżał w pudełku przedmiot mający ocalić od zapomnienia historię walki o Kołobrzeg, o cały Wał Pomorski, o Polskę... ale przede wszystkim ten przedmiot lśniący emalią i złotem sprawił, że młode pokolenie doceni zasługi przodków. Ich poświęcenie i to, że przybyli „nad morze, po ciężkim i krwawym trudzie”.

Książka wydana przez Kołobrzesckie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne i Muzeum Oręża Polskiego w Kołobrzegu z okazji 50. Rocznicy Walk o Kołobrzeg oraz znaleziony Order Odrodzenia Polski to najcenniejsza pamiątka, która o czynach mojego pradziadka i innych walczących przypomina. Order to przedmiot o sentymentalnej wartości. Był przechowywany od lat w pudełku czerwonej barwy, wyścielanym czerwonym welurem. Ma kształt krzyża równoramiennego, zakończonego na rogach ramion kulkami. Ramiona krzyża są z białej emalii ze złożonymi obramowaniami. Gwiazda orderowa srebrzona i złożona z ośmiu pęków promieni, po środku gwiazdy jest nałożona tarcza okrągła, a na niej otok szafirowej emalii ze złożonymi obramowaniami, na otoku napis złożonymi literami POLONIA RESTITUTA czyli Polska Odrodzona. Polska Odrodzona tylko dzięki bohaterskiej postawie jej obywateli.

Jak podają źródła, zdobycie Kołobrzegu przez polskich żołnierzy to nie tylko sukces militarny, to także kontynuacja naszych tradycji i obyczajów morskich. Piękna ceremonia zaślubin z morzem w związku z odzyskaniem niepodległości i postać Franciszka Niewidziajły wrzucającego w fale Bałtyku zaślubinowy pierścień – to obraz utrwalony w pamięci ludzi związanych z Kołobrzegiem. Bój o miasto ukazany na płótnie, obraz zaślubin, zbiory muzealne i odwiedzanie wystaw czasowych to jednak nie to samo, co ujrzanie nazwiska pradziadka w książce upamiętniającej tych, którzy ten „ciężki i krwawy trud” znieśli. To nie to samo, co trzymanie w dłoni orderu za zasługi na rzecz obronności kraju.

Pradziadka Andrzeja nie poznałem, ponieważ zmarł, zanim się urodziłem. Człowiek o dostojnej postawie i zdecydowanym spojrzeniu, ubrany w mundur wojskowy – taki mam jego obraz utrwalony na czarno-białej fotografii. Ze wspomnień moich bliskich wynika, że pradziadek był bardzo wrażliwy i uczuciowy. Nigdy nie zapomniał koszmaru wojny i nie chciał o niej opowiadać. To, co przeżył i czego doświadczył, zachował dla siebie i niechętnie wracał do tamtych dni. Mama wspomina, że kiedy pytała o wojenne przeżycia, na jego policzku pojawiała się łza i szybko zmieniał temat. Wojna przerwała jego spokojne życie na Kresach Wschodnich, ale po jej zakończeniu odnalazł rodzinę i wraz z nią powrócił na Ziemię Odzyskaną, nad piękne polskie morze, aby zamieszkać w Kołobrzegu. Dożył sędziwego wieku, mieszkając w urokliwej okolicy i pracując w Przedsiębiorstwie Połowów i Usług Rybackich „Barka”. W Kołobrzegu odnalazł spokój i szczęście, jednak nigdy nie zapomniał miejsca

urodzenia, do którego powrócić nie mógł.

Pokolenie młodych ludzi urodzonych w czasie wolności często nie rozumie poświęcenia i oddania życia dla ojczyzny. Historia i literatura dające świadectwo nie są dzisiaj dla nas atrakcyjne i interesujące, ale przecież warto poznać własne korzenie. Warto też pamiętać o tych, którzy oddali życie za wolną Polskę, czy to w czasie zaborów, czy podczas I i II wojny światowej.

Walczyli o Kołobrzeg i żyli wśród nas...

Cześć im !		i świętują 50-lecie zwycięstwa w Swoim mieście	
Antonowicz Józef	5 pal i 1 Bat. Sam.	Bednarska Genowefa	Samoch. Komp. Sanit.
Baron Jan	7 pp	Bieleń Antoni	12 pp
Bogucki Adam	9 pp	Całkowski Bronisław	10-11 pal
Buchowiecki Kazimierz	10 pp	Chrystyniak Michał	15 p.art.plot.
Czaiński Ignacy	23 pal	Dernowski Piotr	9 pp
Drozdowski Józef	4 zap. pp	Jasiński Franciszek	14 pp
Dudziński Jan	5 BAC	Jurczenko Stanisław	8 PAH
Garszka Adam	2 i 3 BAH	Kondrat Zygmunt	3 pal
Kominowska Maria	Sztab 6 DP	Kozłowski Jan	16 pp komp.moźdz.
Kowalczuk Karol	19 p.a. ppanc	Łoziński Zygfryd	2 BAH
Kusto Mieczysław	16 samodz. bat. med.	Mazur Ludwik	11 pp
Mazur Władysław	12 PAH	Miekin Andrzej	10 pp
Osadca Andrzej	10 pp	Osadca Władysław	1 Bryg.Saper.
Ryczkowska Jadwiga	4 Szp. Polowy	Pajęczynski Stanisław	11 PAH
Sielicki Jan	7 pp	Pielonka Marcin	23 Pal
Sienkiewicz Witold	10 pp	Przyrowszczyk Mieczysław	8 pp
Sokołowski Wiktor	1 Sam.Pułk Moźdz.	Przyrowski Kazimierz	Sam.Dyw.Art.Dźwięk.
Suszyński Stanisław	3 pal	Przyrowski Kazimierz	Sam.Dyw.Szkoln.
Szulc Aleksander	7 pp	Przyrowski Jan	10 pp
Turkiewicz Andrzej	20 p art. ppanc	Przyrowski Wiktor	6 DP komp.zwiad.
Wasiuk Sergiusz	7 pp	Przyrowski Wiktor	2 BAH
		Przyrowski Kazimierz	14 pp
		Przyrowski Teodor	Sam.Komp.Zwiad.
		Przyrowski Stanisław	6 pal
		Przyrowski Czesław	12 PAH
		Przyrowski Stefan	12 PAH

Zrozumiałem to teraz, dzięki historii w tym emaliowanym krzyżu zamkniętej, tak odległej i tak bliskiej jednocześnie. Biały krzyż z orłem i pięknym napisem sprawił, że dzisiaj wiem, czym jest miłość do ojczyzny i przede wszystkim jak ważna jest pamięć o walczących. To właśnie ona staje się twierdzą siły.

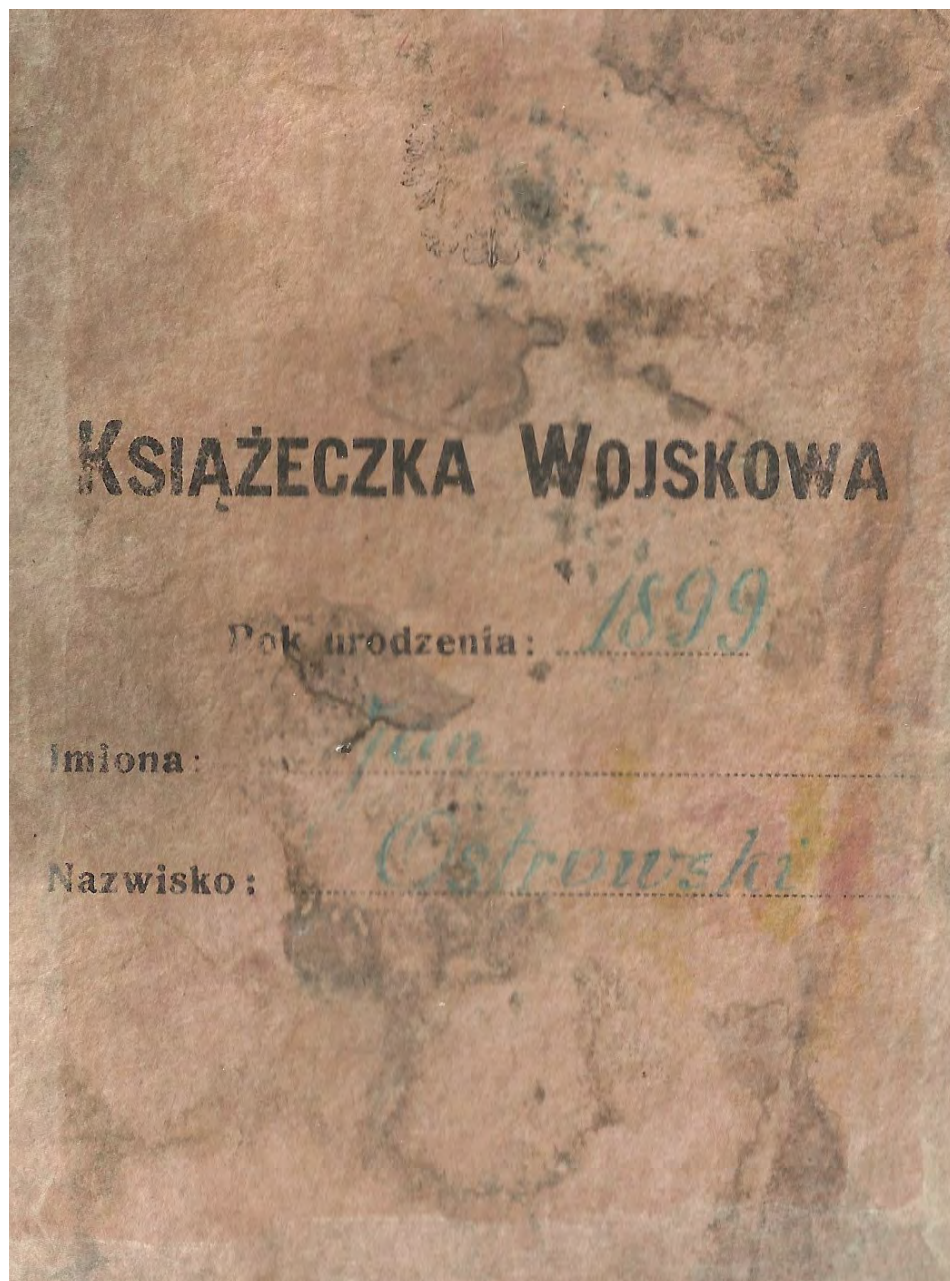
Niewielki order o złoconych obramowaniach przypomina także obawy Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, który w wierszu „Pokolenie” pyta, czy ci walczący zasłużyli na upamiętnienie jak bohaterowie, „karty Iliady rzeźbione ogniem w błyszczącym złocie”.

Znaleziony w szufladzie Order Polonia Restituta i odrodzona, wolna Polska to dowód na to, że musimy być dumni ze swoich przodków. Musimy

Hanna Rzeszowska

Szkola Podstawowa nr 7 im. Heleny Raszki w Szczecinie

Pamiętka ukryta w puszcze



Jan Ostrowski 1899-1974

Jan siedział w swoim fotelu i patrzył na tańczące płomienie ognia w piecu. Cieszył się ciszą i spokojem. Zasłużył na nie. Gdy tak odpoczywał, do pokoju weszła jego żona Józia, trzymająca w rękach pudło.

– Nie uwierzysz co znalazłam – powiedziała lekko podekscytowana.

– Oby mój krawat. Niedługo odbędzie się przecież zjazd rodzinny, a ja chcę wyglądać jak najlepiej – stwierdził.

– Nie, to nie krawat – zaśmiała się kobieta, po czym wyjęła z pudła mały przedmiot – to twoja książeczka wojskowa.

Jan popatrzył na żonę zaskoczony. Oszołomiony wziął do ręki zniszczoną pamiątkę. Przeleżała pięć lat w ziemi, zakopana w puszcze podczas trwania drugiej wojny światowej. Wydawała się jedynie małym, szorstkim, kruchym zwitkiem papieru. Ale dla Jana była czymś więcej. Czuł, jak wspomnienia przytłaczają go. Zamknął oczy i pozwolił im się porwać.

Książeczka wojskowa, którą Wam dzisiaj opiszę, należała do dziadka mojej babci Ewy, mojego prapradziadka Jana Ostrowskiego. Uważam, że był bohaterem narodowym. Ten dokument to jeden z niewielu tego dowodów, które zachowały się do dziś.

Wszystko zaczęło się w 1915 roku, kiedy wstąpił do wojska. Miał wtedy zaledwie 16 lat i był jeszcze za młody na służbę. W trakcie rekrutacji, żeby zostać przyjętym, powiedział, że ma o 2 lata więcej. Pochodził z biednej rodziny. Stracił matkę mając zaledwie kilka lat, a później, gdy był trochę większy, jego ojciec poważnie zachorował. Jako że był najstarszy z rodzeństwa, mając 14 lat musiał zakończyć naukę i pomóc w utrzymaniu rodziny. Najpierw podjął pracę w fabryce, w której był zatrudniony przez dwa lata. Gdy z wybuchem pierwszej wojny światowej usłyszał o tworzeniu się Legionów Polskich, bez wahania wstąpił do nich, a dokładnie do 6-go Pułku Piechoty Legionów. W domu rodzinnym Jana, patriotyzm był bardzo ważny, tak jak dla niego samego. Dziadek młodego chłopaka, również Jan, brał bowiem udział w powstaniu styczniowym.

Według książeczki, jedną z pierwszych bitew, a jednocześnie największą, którą stoczył, była bitwa pod Kostiuchowką w 1916 roku. Na pożółkłych od staroci stronach można przeczytać, że został wtedy ranny w klatkę piersiową. Trafił do szpitala w Lublinie, gdzie długo zajęło mu dojście do siebie. Jednak jeszcze w 1916 roku udało mu się wyzdrowieć i wrócić do wojska.

Kolejnym, ważnym momentem w „karierze” wojskowej Jana, było

wzięcie udziału w Kryzysie Przysięgowym w 1917 roku. Wraz z wieloma innymi kolegami, na rozkaz Józefa Piłsudskiego, żołnierze odmówili złożenia przysięgi „na wierne braterstwo broni z Niemcami i Austro-Węgrami?”. Skutkiem tych działań, dla młodego żołnierza, było wcielenie do armii austro-węgierskiej. W wyniku klęski państw centralnych na froncie włoskim, on, jak i jego towarzysze, poddali się i zostali wzięci do włoskiej niewoli. Jak potem opowiadał mój pradziadzio Władzio – najmłodszy syn Jana, cierpiał tam okropny głód.

W 1918 roku, razem z innymi legionistami, Jan wstąpił do armii Hallera, zwanej Błękitną Armią, z którą w 1919 roku wrócił do Polski. Tam został wcielony do wojska polskiego, a następnie, zgodnie z tym co pisze w książeczce, brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Uczestniczył między innymi w bitwie pod Dyneburgiem, która zakończyła się zwycięstwem wojsk polsko-lotewskich w 1920 roku. Później został skierowany do Kijowa. Za walki stoczone w 1920 roku otrzymał Krzyż Walecznych, a jego pułk został odznaczony Krzyżem *Virtuti Militari*. Stanowi to dla naszej rodziny wielki powód do domu. W taki sposób, na wyżynach triumfów, otrzymał awans na sierżanta. W 1921 roku został bezterminowo urlopowany, a w 1929 przeniesiony do rezerwy.

Chociaż książeczka opisuje całą służbę wojskową Jana, to została wydana dopiero po odzyskaniu przez Polskę niepodległości. Prapradziadek nigdy się nie dowiedział, że po jego śmierci najmłodszy syn Władysław zaopiekuje się nią. Przekaze ją potem jeszcze najmłodszym pokoleniom. A jednak tak się stało. Jako że jest ona dla nas bardzo cenną, niestety zniszczoną pamiątką rodzinną, oddaliśmy ją do Książnicy Pomorskiej, gdzie została przez specjalistów zakonserwowana i nam zwrócona. Więcej nie da się już z niej wyczytać.

Poza wojskiem, życie Jana toczyło się dalej. Po skończonej służbie, pracował resztę życia na kolei. Zawsze był wielkim zwolennikiem Piłsudskiego. A gdy dowiedział się, że nie żyje, bez wahania, pojechał razem z całą rodziną na jego pogrzeb do Krakowa. Po drugiej wojnie światowej, w październiku w 1945 roku, został służbowo przeniesiony do Szczecina, tym samym zostając jednym z pierwszych osadników naszego miasta. Jego życie było już zawsze szczęśliwe i spokojne. Hasło „Bóg, Honor i Ojczyzna” to dla niego nigdy nie były tylko puste słowa.

Jan ocknął się z zamyślenia. Serce biło mu szybko. Znowu siedział w swoim fotelu, a przed oczami, wciąż miał sceny z przeszłości.

– Ach, niczego bym nie zmienił. Niczego – mruknął do siebie.

Malwina Pomalejko

Szkoła Podstawowa nr 3 im. Adama Mickiewicza w Łobzie

Złote obrączki – symbol miłości i przywiązania



*„Historia, rywalka czasu, skarbnica czynów, świadek przeszłości,
przykład i przestroga dla teraźniejszości, nauka dla przyszłości,*

Miguel de Cervantes

Wstęp

Być może nigdy nie zastanawialiśmy się nad tym, co po sobie pozostawimy. Każdego dnia próbujemy znosić trudy życia, dążyć do spełnienia. Staramy się zapamiętać to, co sprawiło, że odnaleźliśmy siebie. Tęsknimy za dawnym spokojem czy uśmiechem. Chowamy urazy. Powoli kształtujemy swoją postać od malutkich pączków na rozległych polach ludzkości do najróżniejszych form i barw kwiatów naszej osobowości. To od nas zależy, czy właściwie wykorzystamy tę szansę. Czy dany nam czas będzie na tyle łaskawy? Niekiedy wydaje się, że ludzki umysł może władać nieograniczonymi zasobami myśli. Jednak w rzeczywistości wspomnienia tak łatwo nam umykają. Dlaczego pamięć jest zawodna? Na to pytanie nie ma prostych odpowiedzi. Pragnienie zdobycia wiedzy na temat przeszłości, teraźniejszości i przyszłości zawsze będzie obecne w każdym z nas, nawet jeśli w pełni nie zdajemy sobie z tego sprawy. Ja również wciąż uczę się, co tak naprawdę oznacza bycie człowiekiem. Jakże silnie z tymi przemyśleniami związana jest historia pamiętki mojej rodziny!

Opis obrączek

Do tej pory myślałam, że moja rodzina nie posiada żadnych materialnych pozostałości po przodkach. Oczywiście poza starymi czarno-białymi zdjęciami z pozaginanymi rogami i często niewyraźnym obrazem, pachnących starością i doświadczeniem. Na swój sposób jest to kojący zapach. Żywy dowód sentymentalizmu. Akurat ich jest pod dostatkiem, dlatego też moja babcia, Franciszka Pomalejko podczas różnych rodzinnych spotkań lubi o nich gawędzić, co w rezultacie prowadzi do przeglądania albumów i snucia wielu opowieści dotyczących życia w przeszłości.

Pewnego kwietniowego dnia zdarzyło się, że rozmowa zeszła na temat obrączek ślubnych mamy Franciszki, czyli mojej prababci Władysławy Brażewicz. W tamtym momencie wiedziałam o niej stosunkowo mało. Teraz, w wieku 15 lat, pamiętałam ją tylko ze zdjęć, ponieważ zmarła, gdy miałam

dwa lata, czyli dokładnie 6 października 2010 roku, w wieku 98 lat.

Kojarzyłam ją jako kobietę o ostrych rysach twarzy i przenikliwym spojrzeniu. Osobę wyjątkowo zawziętą i porywczą, nawet w sędziwym wieku, która nie dawała sobie w kaszę dmuchać.



Okazało się jednak, że za dwiema obrączkami kryła się głębsza historia. Podobno Władysławę łączył z nimi trwały związek emocjonalny. Muszę przyznać, że wydalo mi się to intrygujące. Zapytałam Franciszkę, czy mogłaby mi je pokazać. Na jej twarzy pojawił się wtedy cień uśmiechu, po czym przyniosła nieco zniszczone, miedziane pudeleczko z intensywnie czerwonym, plastikowym zapięciem. Gdy je otworzyłam, okazało się, że znajdowały się w niej grube pierścienie, z których jeden był nieco mniejszy od drugiego. Nie posiadały żadnych zdobień, wzorów czy drogich kamieni. Ich piękno leżało w prostocie. Próba złota zaznaczona na wewnętrznej stronie obrączek wynosiła 585. Ostrożnie zważyłam je w dłoni, przesuwając kciukiem po licznych rysach i zadrapaniach. „Przypominają blizny” - pomyślałam. Emanował od nich

lekki chłód. Zapewne już od dawna nie zaznały ciepła ludzkich rąk, chociaż w żółtawym świetle lampy zdawały się lśnić jasno jak oślepiający blask pochodni w ciemną noc. Po pewnej chwili Franciszka zaczęła snuć ich historię...

Bagdziuny – wiejskie życie w okresie międzywojennym

Rozpoczęła opowieść od wsi o nazwie Bagdziuny, leżącej na terenie dzisiejszej Białorusi. Podczas zaborów należała ona do Imperium Rosyjskiego, a od 1921 do 1945 do Polski. Były to tereny powiatu brasławskiego, gminy Widze oraz województwa nowogródzkiego aż do roku 1926, gdy Bagdziuny stały się częścią województwa wileńskiego. To właśnie tam w 1912 roku urodziła się Władysława, posiadająca jeszcze wtedy nazwisko Grajcewicz. Zdecydowanie nie były to czasy dostatku. Władzia mieszkała z rodzicami, dwiema siostrami i starszym bratem w niewielkim drewnianym domu, posiadającym tylko jedno pomieszczenie. Dach pokrywała strzecha. Brakowało światła, żywności, obuwia, dostępu do opieki medycznej czy chociażby najmniejszego skrawka powierzchni pokrytego solidną podłogą. Krótko mówiąc: panowała przynębiająca bieda. Wiele zależało od sytuacji materialnej mieszkańców wsi i od ilości posiadanych przez nich gruntów rolnych. Do mojej rodziny należał wtedy zaledwie mały kawałek ziemi i przydomowy ogródek. Jej członkowie próbowali zdobywać jedzenie lub w najlepszym przypadku, skromne pieniądze, poprzez pracę dla bogatszych posiadaczy ziemskich. Czasy międzywojenne charakteryzowały się też znacznym przeludnieniem wsi i analfabetyzmem. Próbowałam wyobrazić sobie, jak niekomfortowa musiała być ówczesna sytuacja wielu mieszkańców. Ludzie radzili sobie z codziennymi problemami, jak tylko najlepiej umieli. Chcieli przeżyć. Mogli mieć tylko nadzieję na poprawę warunków życia w przyszłości.

Okres II wojny światowej

W swojej opowieści Franciszka płynnie przeszła do czasów II wojny światowej. Okresu wyjątkowego ryzyka, ciągłego strachu oraz rozpaczliwej walki o przetrwanie. Wybuchła ona 1 września 1939 roku w wyniku nagłego ataku Niemiec na Polskę. W tamtym okresie Stalin oczekiwał upadku Warszawy, jednak stolica ciągle się broniła, a oddziały niemieckie zajmowały coraz więcej terenów, które nie zostały im przypisane w pakcie Ribbentrop-Mołotow. Na jego podstawie miała być ustalona niemiecko-sowiecka strefa

wplywów. Dlatego też 17 września 1939 roku Armia Czerwona przekroczyła granicę Rzeczypospolitej. Ostatecznie w trakcie trwania kampanii wrześniowej, dokładnie 28 września 1939 roku, podpisano traktat o granicach i przyjaźni. Polska poniosła klęskę w wojnie obronnej. Około 51% jej obszarów przyłączono do ZSRS, 25% zachodniej części kraju zostało bezpośrednio wcielone do Niemiec, a pozostałe obszary okupowane przez Niemców utworzyły Generalne Gubernatorstwo. W poszczególnych okupacjach nastąpiła germanizacja i sowietyzacja. Pozbawiano ziem, majątku i wszelkich dóbr oraz wysiedlano ludność. Panował terror, a z opowiadań Franciszki wynika, że szczególnie nieprzyjemnie wspomina ona okupację sowiecką, która odznaczała się wyjątkową brutalnością. Nędza na wsi pogłębiła się jeszcze bardziej. Ludzie ukrywali się w piwnicach, ziemiankach i okopach przed oddziałami rosyjskimi i niemieckimi. Władysława miała 27 lat, ale nawet w tak burzliwych i niesprzyjających warunkach poznała i poślubiła mężczyznę – Stanisława Staszkiela. Jednak po dwóch miesiącach zginął on z rąk sowietów. Pozostawił po sobie uczucie ciężkości i dogłębnego smutku...

Obrączki ślubne, które właśnie teraz powoli rozgrzewają się w mojej dłoni, подарowane zostały Władysławie przez jej matkę Rozalię, która z kolei otrzymała je od swojej matki. W tamtym trudnym czasie stały się symbolem straty po Staszku i niepewności. W niedługim okresie czasu Władysława urodziła pierwszą córkę – Stanisławę, a następnie ponownie wyszła za mąż za Jana Brażewicza, z którym dzieliła obrączki o wiele dłużej. Zdołali oni przeżyć wojnę. W 1945 roku urodził im się syn Aleksander oraz kolejna córka – Franciszka, która właśnie siedzi koło mnie i ze wzruszeniem opowiada tę rodzinną historię.

Po II wojnie światowej

Po zakończeniu II wojny światowej w latach 1945-1952 Jan Brażewicz podjął się pracy w kolchozie (gospodarstwie kolektywnym), aby spróbować zarobić nieco pieniędzy. Kolchozy były miejscami pracy, w których nie uwzględniano i nie szanowano pracowników oraz ich praw. Najczęściej były to fabryki, montażownie czy linie produkcyjne. Pracowało w nich wiele osób, lecz uważano je za najgorszą formę pracy, której symbolem stał się wyzysk. Jan w przeszłości był soltysem, co wiązało się z podejrzeniami o działalność przeciwko ZSRS. Umieszczono go w więzieniu, w którym spędził 5 lat. W 1945 roku doszło do masowych przesiedleń ludności. Na konferencji w Teheranie (28 listopada –

1 grudnia 1943 roku) oraz w Jalcie (4 listopada – 11 lutego 1945 roku), alianci podjęli decyzję dotyczącą powojennej Polski, która miała znaleźć się w strefie wpływów ZSRS. Zmieniły się przebiegi granic, a polscy komuniści dążyli do stworzenia z Polski kraju jednolitego pod względem narodowości. Dlatego też z tzw. Ziemi Odzyskanych wysiedlono ok. 3 mln Niemców, do ZSRS przesiedlono ok. 550 tys. Ukraińców, Białorusinów i Litwinów, z Zachodu zaś powróciło ok. 2 mln osób, a z Kresów wschodnich na Ziemię Odzyskane przesiedlono ok. 1,5 mln Polaków. Właśnie wtedy matka Władysławy, Rozalia, została zmuszona do wyjazdu w wagonach towarowych z całym swoim dobytkiem. Jednak upór, wierność i pewność w podejmowaniu decyzji, jakimi odznaczała się Władysława, nie pozwoliły jej na opuszczenie Bagdziunów bez męża. Zdołała uniknąć przesiedlenia, planując wyjazd w późniejszym terminie. Podobno często w tym czasie spoglądała na obrączkę, której niegdyś gładka powierzchnia pokryła się licznymi rysami niczym przestrzeń życia wypełniona trudami.

Szkoła i nowy dom

15 km od Bagdziunów znajdowała się szkoła. Dzieci Władysławy codziennie chodziły do niej pieszo. Wciąż panowała bieda. Brak obuwia i światła stanowił naprawdę poważny problem. Według Franciszki obowiązkowy był język rosyjski, a język polski wprowadzano dopiero od ósmej klasy. Do dziś pamięta imiona nauczycielek: Ola Nikitiewna i Raisa Jachimowa. W szkole obecne były też higienistki, które golily dzieciom głowy, aby zapobiec rozprzestrzenianiu się wszawicy. W końcu Jan zdołał uciec z więzienia wraz z paroma innymi ludźmi. Granice były już wtedy zamknięte, jednak w 1957 roku rodzina Brażewiczów dostała zaproszenie od Rozalii wraz z potwierdzeniem dotyczącym miejsca zamieszkania we wsi o nazwie Wysiedle, obecnie w województwie zachodniopomorskim. Pojechali więc. Przydzielono im jeden z opuszczonych domów, zapomogę reparacyjną oraz kilka hektarów ziemi. Była to prawdziwa odmiana po wielu trudnych latach spędzonych w Bagdziunach. Upragniona zmiana... Zaczęli prowadzić gospodarkę. Kupili między innymi krowę i drób. W ramach kolektywizacji rolnictwa przeprowadzanej w Polsce w okresie władzy komunistów, Brażewiczowie musieli cztery dni w tygodniu poświęcić na pracę w państwowych gospodarstwach. Mimo tego większość czasu poświęcali na uprawę własnej ziemi. Prowadzili spokojne życie, próbując cieszyć się każdą chwilą. Dopiero gdy Władysława

osiągnęła wiek emerytalny, musiała zrzec się ziemi na rzecz skarbu państwa, w celu uzyskania świadczenia emerytalnego.

Wiara i pielgrzymka

Ważną rolę w życiu Władysławy odgrywała wiara. Należała do koła kościelnego, z którym 3 czerwca 1979 roku udała się do Gniezna na pierwszą pielgrzymkę Jana Pawła II. Oczywiście zabrała ze sobą pierścionki ślubne, które wiązały ją z przeszłością i nie pozwalały zapomnieć o tym, co przeżyła, nawet po śmierci męża w 1972 roku. Nigdy nie pomyślała o sprzedaży tych drogocennych pamiątek. Stanowiły znak łączności między tym, co minęło bezpowrotnie, a obecnym życiem, którego kształt nadała przecież przeszłość. Na tej właśnie pielgrzymce poświęciła obrączki, a rok później na kolejnej w Licheniu kupiła miedziane pudeleczko. Myślę, że ludzie są skłonni do popadania w nostalgię, ale też w podeszłym wieku uczą się doceniać to, co daje im los.

Zakończenie

W tym momencie Franciszka zakończyła opowieść... Nadal mieszkamy z rodziną w Wysiedlu. Poczulam uczucie satysfakcji, gdy moja wiedza na temat przodków znacznie się powiększyła. Wydarzenia z przeszłości zdają się o wiele żywsze, gdy ktoś bliski sam ich doświadczył i postanowił wymówić głośno myśli, które powoli bledną i zatracają się w umyśle, dotknięte zębem czasu. To piękne i straszne jednocześnie, że ludzie mogą poczuć i doświadczyć tak wielu różnorodnych przeżyć. Zadziwiające, że nie chcą się poddać. Historia jest nam o wiele bliższa niż się wydaje. Tyle w niej mądrości. Cieszę się, że poznałam kolejną. Radosną i bolesną, bogatą i prostą. Tak jak niejednoznaczne jest ludzkie życie. Zupelnie tak jak te obrączki. Spróbuję dobrze zapamiętać tę opowieść, bo przecież ktoś musi nieść ją dalej i dalej...

Zuzanna Sydewska

Szkoła Podstawowa im. Kornela Makuszyńskiego w Kaliszu Pomorskim

*„Dziś bym do Was leciał na skrzydłach Sokola...”,
czyli historia o tym, że nic nie jest tak silne jak miłość*



I Komp. c.k.m, 58. p.p. Wlkp. rocznik 07/I

Mojemu prapradziadkowi Stefanowi

Korespondencja prapradziadka i praprababci z czasu drugiej wojny światowej jest w naszej rodzinie od 80 lat. Odbierana była przez prababcię w Bytkowie koło Rokietnicy. Od tamtego momentu listy przeszły długą historię wraz z praprababcią Agnieszką, jej siostrą Pelagią, a potem prababcią Genią, a teraz z moją mamą Sławką. Przechowujemy je obecnie w naszym domu po prababci Gesi i pradziadku Zbyszku w Kaliszu Pomorskim. Myślę, że listy mogły być w szufladach, piwnicach czy walizkach, najpierw w Poznaniu, bo tam tuż po wojnie mieszkała nasza rodzina. Na pewno były bardzo ważne, skoro zostały zachowane przez tyle lat i odbyły wędrowkę między Bytkowem, Poznaniem, Oleśnicą, Drawskiem Pomorskim, Dębskiem i Kaliszem Pomorskim. Gdy się tu przeprowadziliśmy po śmierci prababci Gesi z moją mamą, to znalazła je wśród starych gazet, zdjęć – część w domowej bibliotece a część – te najcenniejsze – w skrytce kuchennej na najwyższej półce zawinięte w starą folię i wciśnięte w koszyczek po starym wózku dziecięcym. Mama i babcia Zosia (córka Gesi) nic o nich nie wiedziały. W rodzinie myślano, że prapradziadek przebywał w Dachau, a syn Jerzy miał mu nawet czasem podobno za złe, że tak wiele razy po wojnie wraz z rodzicami musiał się przeprowadzać.

Kiedy zaczęła się pandemia, moja mama przyniosła z piwnicy te pamiątki. W tym dziwnym okresie było dużo wolnego czasu, więc postanowiła je uporządkować. Z czasem, gdy wieczorami mama siedziała na dywanie otoczona listami i starymi fotografiami, z których odtwarzała drzewo genealogiczne naszej rodziny, zaczęłam obserwować, co robi i pomagać jej w segregowaniu pamiątek. Spodobało mi się to. Cieszyłam się, że mogę z mamą to robić. Czytałam listy, pamiętniki oraz znajdowałam w szufladach ważne dokumenty. Pamiętników prababci mama jednak nie pozwalała mi czytać, bo były zbyt osobiste. Najbardziej interesujące były dla mnie te rzeczy, które dotyczyły prapradziadka Stefana. Było ich dużo i trudno było wybrać najważniejsze. W tym pomogła mi mama. W naszej rodzinie prapradziadek Stefan przeżył chyba najwięcej trudnych doświadczeń i to o nim chcę napisać, bo zasługuje na szacunek.

Szczęśliwe czasy przed wojną

Dowiedziałam się, że mój prapradziadek Stefan Jaskuła (ur. 16 kwietnia

1904 roku w Otorowie), mąż Agnieszki Jaskuły oraz tata Eugenii i Jerzego Jaskulów, w latach 30. XX wieku był żołnierzem zawodowym. Miał swój oddział. Był plutonowym. Służył w 58. Pułku Piechoty Wielkopolskiej. Wśród bardzo wielu pamiątek po nim zachowało się jego zdjęcie wraz z podwładnymi. Wygląda on na nim na młodego, poważnego i pewnego siebie mężczyznę. Siedzi wyprostowany w samym centrum i ma założoną nogę na nogę. Jest spokojny, ma dłonie oparte na kolanach. Prapradziadek mieszkał wtedy w Poznaniu przy ulicy Bukowskiej. Wraz z małżonką żył na dość dobrym poziomie. Patrząc teraz na kolejne zdjęcie z roku 1939, na którym prapradziadek wraz z Agnieszką są gośćmi na weselu.

Agnieszka i Stefan Jaskułowicze na weselu 1939 r.



58. Pułk Piechoty Wielkopolskiej, pluton Stefana Jaskuły r.x

Fotografia uchwyciła ich w momencie wyjścia z kościoła ze ślubu „Elżbiety, córki brata Marcina”, jak mówi podpis. Wyglądają sztywno, dziadek jest w mundurze, ma zadbane oficerki wojskowe, idzie prężnym krokiem, tuż obok podąża dumna małżonka. Agnieszka ma piękny płaszcz z kołnierzem z lisa, który świadczy o zamożności. Ma też modny kapelusik i skórzane pantofelki na obcasach. Wyglądają na szczęśliwych, uśmiechają się.

Najstraszniejsze dni w życiu prapradziadka

Gdy 1 września 1939 roku rozpoczęła się druga wojna światowa, prapradziadek jako żołnierz zawodowy uczestniczył w kampanii wrześniowej. Dotarł aż pod Warszawę, prawdopodobnie do Puszczy Kampinoskiej.

Niestety tam Polacy zostali pokonani przez Niemców. Jego pułk został rozwiązany. Prapradziadek próbował uciekać, ale niestety został aresztowany i wysłany do jenieckiego obozu, a potem do obozu koncentracyjnego w Austrii aż na pięć długich lat. Na szczęście umiał mówić i pisać po niemiecku, więc Niemcy najprawdopodobniej pozwalali mu pisać listy od więźniów, w zamian za co dostawał pewnie pieniądze i jedzenie. Być może Stefan pełnił funkcję pisarza, ale nie mamy na to dowodów. Obóz nazywał się Mauthausen i był jednym z najcięższych obozów stworzonych przez nazistów. Zachowała się Legitymacja – Identity Card – No – 278 wydana w Langwasser dnia 18 sierpnia 1945 roku w której zapisano kiedy Stefan Jaskuła przebywał w obozach koncentracyjnych:

- 17.06.1940 r. aresztowany przez Niemców
- 23.06.1940 r. – 23.02.1942 r. – Schwetig, nr obozowy 8464.
- 15.05.1942 r. – 21.08.1942 r. – Mauthausen, nr obozowy 9716.
- 21.08.1942 r. – 31.04.1945 r. – Steyer.
- 31.04.1945 r. – 05.05.1945 r. – Gusen.

Na dokumencie jest pieczętka Komisji Weryfikacyjnej w Monachium Biuro Rejestracyjne Więźniów Wyjeżdżających z Obozu Przejściowego w Hamburgu. Jest tu też czerwona pieczęć Komisji Weryfikacyjnej Byłych Więźniów Obozów Koncentracyjnych. W prawym dolnym rogu znajduje się odcisk palca Stefana czerwonym atramentem bardzo wyraźny jak na to, że minęło 78 lat. Choć legitymacja jest stara i żółtka, to można na niej odczytać wszystkie dane. Ma nieduży rozmiar, składa się na pół.

Legitymacja - Identity card - No 278

Nazwisko Name	Jaskuła	Imię Christian name	Stefan
Data urodzenia Date of birth	16.4.1904	Miejsce urodzenia Place of birth	Regorowo
Narodowość Nationality	polonia - polish	Aresztowany dnia Arrested on the	17.6.1940
przebywał w niemieckich obozach koncentracyjnych: - was kept in german concentration camps:		w Monachium	
od from	do till	w at	Schwetig No 8464
od from	do till	w at	Mauthausen No 9716
od from	do till	w at	Steyer No -
co niniejszym stwierdzamy - what is herewith verified.			
Poświadczenie Dowódcy P. O. W. Certificate of the Center Commander:		Komisja weryfikacyjna Verifying commission:	
Polish Military State Commander		Własnoręczny podpis wł. leg.:	

Odcisk palca
Finger-print:

Jest przedarta w połowie, ale jej stan jest dobry.

Podczas swojego pobytu w tym obozie od swojej żony Agnieszki, Stefan dostawał paczki z jedzeniem oraz pieniądze. W liście z dnia 10 stycznia 1943 roku, jednym z dwudziestu zachowanych listów do żony pisanych po niemiecku, prapradziadek pytał o wymyślonych „wują Pieniążkiewicza” i o „wują Piekarskiego”. Miał na myśli pieniądze i pieczywo. Ponieważ w obozie nie można było wtedy prosić o jedzenie i pieniądze, miał nadzieję, że jego żona zrozumie przekaz. I faktycznie, Agnieszka domyślała się o co chodzi, i choć



było jej bardzo trudno z dwojgiem małych dzieci, przysyłała mu pieniądze oraz chleb, a wiemy to z przetłumaczonych z języka niemieckiego listów. Mama znalazła też 9 dowodów wysyłania paczek. Ale gdy Agnieszka pakowała do przesyłek świeży chleb, ten, zanim dotarł do Stefana, był już spleśniały, więc prapradziadek pisał listy do żony, by ta suszyła mu ten chleb przed jego wysłaniem. Tam był głód.

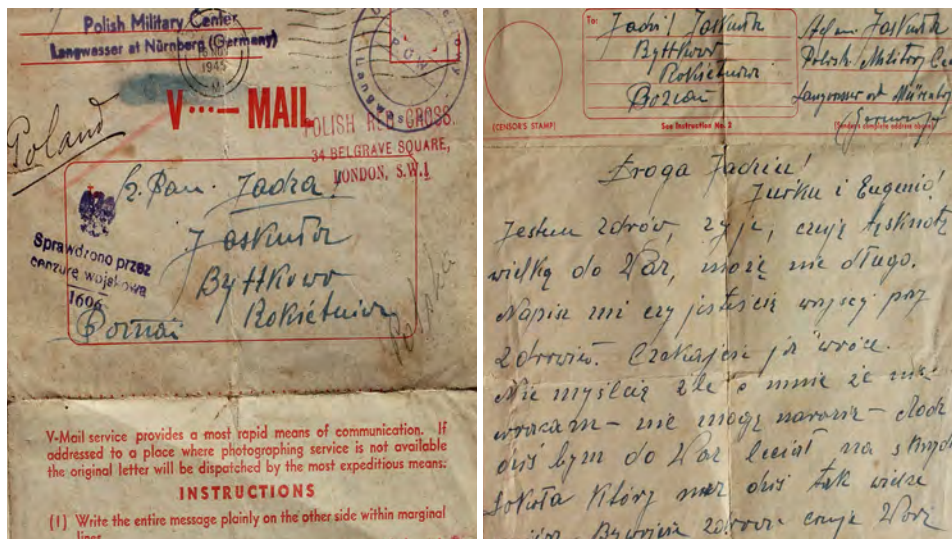
W 1945 roku w maju obóz Mauthausen został wyzwolony przez Amerykanów. Stefan długo jeszcze nie wracał do Polski. Wreszcie do Agnieszki przyszedł list adresowany z Polish Military Center Langwasser at Nurnberg (Germany) z dnia 16 listopada 1945 roku. Stefan napisał w nim już po polsku:

Droga Jadziu!

Jurku i Eugenio!

Jestem zdrow, żyje, czuję tęsknotę wielką do Was, może nie długo. Napisz mi czy jesteście wszyscy przy zdrowiu. Czekajcie ja wrócić. Nie myślcie źle o mnie że nie wracam

– nie mogę na razie – choć dziś bym do Was leciał na skrzydłach Sokola (...)
 Bywajcie zdrowi. Całuję Was
 Stefan



Ten list mam w rękach. Jest on dla mnie najważniejszy. Był adresowany do Agnieszki – na kopercie – Jadzi, bo tak do niej mówił, Geni oraz Jurka. Stefan pisał go piórem z niebieskim tuszem. Wcześniejsze listy z obozów koncentracyjnych pisane były po niemiecku, zwykle ołówkiem. Na kopercie jest pieczętka: „Sprawdzono przez cenzurę wojskową”. Poniżej czerwonym tuszem wydrukowano w języku angielskim instrukcję pisania listu. Kartka ma format A4. Jest składana w ten sposób, że nie trzeba jej pakować w kopertę. Miejsce na adres i pieczętka znajduje się na jednej stronie, a na drugiej jest list. Ma żółtobrazowy kolor. Właśnie te kolory bardzo kojarzą mi się ze starością, z dawnymi latami. Pachnie znajomo – ma prawie taki sam zapach jak prababcia Genia. Mogło to zabrzmieć trochę dziwnie, ale naprawdę z nią mi się kojarzy. Pamiętam, że jak byłam małą, babcia Genia zawsze gdy do niej przyjeżdżałam, dawała mi wafelki, zazwyczaj Góralki o smaku mlecznym. Bardzo ją lubiłam, ale jako ośmiolatka zbytnio tego nie pokazywałam. List jest już nieco porwany na zgięciach kartki i prawie rozpada się w dłoniach, ale przypomina mi, jak bardzo prapradziadek Stefan tęsknił za swoją rodziną i jak mocno ją kochał.

Po powrocie do domu

Bardzo wzruszyło mnie, gdy dowiedziałam się od mamy, że Stefan wrócił do swojej rodziny na Boże Narodzenie. Zachował się dokument wydany 24 grudnia 1946 roku świadczący o tym, że właśnie wtedy przekroczył granicę w Dziedzicach. To zaświadczenie Nr 871683 wydane przez Rzeczpospolitą Polską Ministerstwo Administracji Państwowy Urząd Repatriacyjny Punkt Przyjęcia w Dziedzicach z dnia 24 grudnia 1946 roku. W lewym dolnym rogu zszywkami przypięto małe zdjęcie legitymacyjne Stefana. Ubrany jest w ciemną bluzę z guzikami. Ma krótko ostrzyżone, przyglądzone włosy, twarz spokojną ale zmęczoną. Ma 42 lata, za sobą wiele doświadczeń i pewnie nadzieję na spotkanie z rodziną.

Na dokumencie napisano:

ZAŚWIADCZA SIĘ NINIEJSZYM, ŻE OB. JASKUŁA STEFAN UR. 16.04.1904 R. OTOROWO PRZYBYŁ DO POLSKI Z TERYTORIUM NIEMIEC I DNIA 24.12.1946 R. ZAREJESTROWAŁ SIĘ NA PUNKCIE PRZYJĘCIA W DZIEDZICACH. OBECNIE UDAJE SIĘ DO POZNAŃ, UL. BUKOWSKA 26. NA PODSTAWIE ZARZĄDZENIA RADY MINISTRÓW (...) MA PIERWSZEŃSTWO I PRAWO JEDNORAZOWEGO BEZPŁATNEGO PRZEJAZDU WSZELKIMI ŚRODKAMI LOKOMOCJI DO POZNAŃ. WŁADZE PAŃSTWOWE I SAMORZĄDOWE SĄ PROSZONE O UDZIELENIE JAK NAJDALEJ IDĄCEJ POMOCY OKAZIATELWI NINIEJSZEGO.

Zaświadczenie ma format A5. Kartka składa się na cztery części, zagięcia są mocno wytarte. Papier ma kolor brązowożółty, jest stary i szorstki. Ma 77 lat.

Mama mówi, że smutne jest to, że po tylu latach obozu koncentracyjnego prapradziadek otrzymał tylko prawo do jednorazowego bezpłatnego przejazdu oraz skromną bezzwrotną zapomogę pieniężną od władz państwowych. Dla mnie jest ważne co innego. Potrafię sobie wyobrazić, jak Agnieszka z dziećmi zasiada do stołu śpiewając kolędę, gdy nagle do drzwi ktoś puka. Agnieszka wstaje, otwiera drzwi i widzi swojego męża po prawie sześciu latach. Gesia, moja prababcia ma wtedy tyle lat co ja, a mały Jurek tyle lat co mój młodszy brat Mateusz. Jurek mógł wtedy pomyśleć, że Stefan to jakiś obcy pan, bo właściwie go nie znał i dopiero wtedy zobaczył go pierwszy raz. Jak naprawdę wyglądało to spotkanie?...

Po powrocie z wojny prapradziadkowi było bardzo trudno w Polsce. Nie było dla niego dobrej pracy, dlatego że wtedy przedwojennych wojskowych nie traktowano dobrze. Panował komunizm. Miał dziwne jak dla mnie miejsca zatrudnienia: motorniczy tramwaju w Poznaniu, instruktor

światlicy, oznaczacz skrobi, księgowy w Oleśnicy. Zachowały się dokumenty, gdzie pracował. Często zmieniał miejsca zamieszkania, szukał szansy na lepsze życie. Ostatecznie wraz z rodziną osiedlił się w Drawsku Pomorskim, gdzie przebywał do śmierci w dniu 3 stycznia 1967 roku. W Kaliszu Pomorskim zamieszkała jego córka Eugenia, dokąd zabrała praprababcię Agnieszkę, wdowę po Stefanie Jaskule. Małżonkowie spoczywają teraz na cmentarzu w Kaliszu Pomorskim obok prababci Eugenii. Czasem odwiedzam ich groby z mamą.

Dla mnie ta historia jest wzruszająca i cieszę się, że to moi przodkowie. Nauczyłam się, że w czasach, gdy żyli, bywało bardzo trudno. Mauthausen było najgorsze. Na pewno prapradziadek oglądał straszne rzeczy, o których aż boję się myśleć. Ludziom takim jak moi prapradziadkowie zawdzięczam teraz wolną Polskę.



Kiedy uczestniczyłam w obchodach związanych z upamiętnieniem żołnierzy wyklętych, brałam udział w długim biegu. Myślałam wtedy o prapradziadku Stefanie. On też bardzo lubił uprawiać sport. Biegłam właśnie dla niego.

Aleksandra Karpińska

Szkoła Podstawowa Nr 3 w Choszczynie

Milczący świadek historii



Kilka kliknięć w klawiaturę komputera otwiera drzwi niezgłębionych pokładów informacji. Czytając internetowe teksty i opisy, pochodzące często sprzed wielu lat, oraz oglądając cyfrowe repliki starych dzieł sztuki i fotografii mogę dowiedzieć się wiele o naszej historii. Wydaje się, że w sieci jest wszystko. Jednak najlepsza grafika komputerowa nie jest w stanie przenieść nas na strych domu prababci Leontyny pełnego staroci z duszą. Najlepsza karta dźwiękowa nie odtworzy drżącego głosu dziadka Adama, który opowiada rodzinne historie. Czując zapach starej, poplamionej książki starannie obłożonej szarym papierem przez pradziadka Jana niemal przenoszę się w przeszłość. Oglądając wiekowe pocztówki napisane dokładnym pismem prababci Waławy w połączeniu ze słuchaniem historii opowiadanych ustami ich nadawcy, pokonuje barierę czasu dzielącą mnie od tych wydarzeń.

Czując zapach dawnych przedmiotów, dotykając staroci znalezionych na strychu, wreszcie słuchając historii opowiadanych przez naszych przodków mogę stanowczo stwierdzić, że w sieci nie ma wszystkiego. Źródła cyfrowe są dobrym uzupełnieniem realnych doznań i rozmów z rodziną, ale dopiero zaangażowanie wszystkich zmysłów daje mi pełną lekcję historii.

W trakcie jednej z takich odkrywczych wypraw natrafiłam w kredensie, w kuchni dziadka Adama, na przepiękny pierścionek z jasnioletowym, podłużnym oczkiem. Był koloru złoto-różowego, wąski na dole i rozszerzający się ku górze. Wokół kamienia, osadzonego w górnej części, rozchodziła się na dwie strony wyrzeźbiona struktura, przypominająca pomarszczoną skórę słonia. Na dole, po zewnętrznej stronie, wygrawerowane były numery i znaki. Nie wiedziałam, co one oznaczają. Odnaleziony element biżuterii zawinięty był w brązowy papier o tajemniczym zapachu. Mały pakunek pozostawał ukryty w metalowej szkatulce, wyścielonej wewnątrz aksamitnym materiałem, ustawionej za filiżankami. Wsunęłam pierścień na serdeczny palec, spojrzałam na mieniący się w przedwiosennym słońcu starannie oszlifowany mineral i od razu zapragnęłam poznać jego historię.

Nie wiem kiedy dokładnie pierścionek znalazł się w naszej rodzinie, ale było to jeszcze przed II wojną światową. Początkowo należał do mojej praprababci Katarzyny, która pochodziła z zamożnej rodziny. Ciekawe, czy nosiła go na co dzień czy zakładała tylko na specjalne okazje? Może miała więcej podobnej biżuterii? Jej mężem był Piotr, który pracował jako kowal. Mieli pięcioro dzieci: Marię, Różę, Hannę, Michała oraz drugiego syna, którego imienia nie pamiętam. Dziadek Adam opowiadał, że prapradziadek był bardzo cenionym fachowcem, zajmował się nie tylko podkuwaniem koni,

ale wykonywał także przedmioty codziennego użytku, ogrodzenia oraz okucia do powozów i mebli. Mieszkali na Kresach Wschodnich, które wchodziły w skład II Rzeczypospolitej. Niestety spokojne życie prapradziadków zakłóciła II wojna światowa. Przez pierwsze lata wojennej zawieruchy rodzina Katarzyny i Piotra pozostawała w swoim miejscu zamieszkania. Do ucieczki nie zmusił ich nawet fakt, że od 28 września 1939 r. na mocy układów niemiecko-sowieckich wschodnie tereny II Rzeczypospolitej weszły w skład ZSRR. Po kilku latach wojennych zmagani śmierć zapukała do drzwi zdolnego kowala i jego rodziny – prapradziadek oraz jeden z jego synów zginęli w 1943 roku. To wydarzenie zmusiło praprababcie z córkami do ucieczki i szukania pomocy dla siebie i rodziny. Trafili do Lwowa, gdzie pozostały do zakończenia wojny. W trakcie tych tragicznych wydarzeń cały czas towarzyszył nieszczęśnikom milczący świadek. Kiedy spoglądam w jasnofioletowe oczko (minerał osadzony w pierścieniu okazał się być ametystem) przedstawia mi się zapłakana po stracie męża i syna twarz Katarzyny. Gdy przykładam go do ucha wyobrażam sobie jej pytający głos: „dlaczego...?” Szkoda, że w tamtych czasach nie wkładano do biżuterii małych kamerek, chociaż z drugiej strony wyobrażając sobie historię Katarzyny i Piotra, za każdym razem ich losy widzę inaczej. Do zobaczenia w niebie prapradziadku.

Po II wojnie światowej praprababcia wraz z córkami, już spokojniejsze o swoje losy, trafili na Ziemię Odzyskanie. Przesiedleńcy szukali miejsca, gdzie mogliby się zatrzymać. Trafili do Ognicy. Tam, w całkowicie nowych okolicznościach, rozpoczynali wszystko od nowa. Nie dało się jednak wymazać z pamięci scen z wojennych lat, nie zagoiły się głębokie rany, które cały czas krwawiły z tęsknoty za bliskimi. Tylko ich złoto-różowy kompan pozostawał jakby niewzruszony, ametystowe oczko cały czas patrzyło tym samym, spokojnym wzrokiem.

Jedna z córek praprababci – Maria – została żoną Pawła i w ten sposób stali się moimi pradziadkami, a po ślubie zamieszkali w Sokolińcu naprzeciwko okazałego pałacu zbudowanego w XIX w. Pradziadek był woźnicą i woził mleko do mleczarni, a prababcia zajmowała się domem. Mieli cztery córki; Irenę, Genowefę, Marię oraz Krystynę. Dom, w którym budowali swoje szczęście, nadal istnieje, chociaż zamieszkują go osoby nie związane z naszą rodziną. Genowefa poślubiła Adama, jako posag otrzymała od swojej mamy okazały pierścienek z ametystowym oczkiem, który nadal wiernie towarzyszył naszej rodzinie.

Bardzo się cieszę, że mogłam napisać tę historię. Stała się ona powodem

do zgłębienia rodzinnych tajemnic. Dziadek Adam ma bardzo dobrą pamięć i potrafi dokładnie opisać sceny z historii naszej rodziny, które przy uruchomieniu wyobraźni stawały się jak żywe. Ilekroć słuchałam opowiadań dziadka, spoglądałam w jasnofioletowe oczko i przenosiłam się w czasie. Pierścionek jest teraz w naszym domu i to ja „graweruję” na nim kolejne rozdziały. Jednak nie zamontuję w nim mini kamerki, pozostaną przy tradycyjnym przekazie informacji i opowiem swoim wnukom całą historię z dopisanymi przeze mnie rozdziałami.



Aleksandra Pieczyńska

Szkoła Podstawowa nr 53 im. Fryderyka Chopina w Szczecinie

Historia pierścionka z fioletowym oczkiem



„Umarłych wieczność dotąd trwa, dokąd pamięcią się im płaci.”

Wisława Szymborska

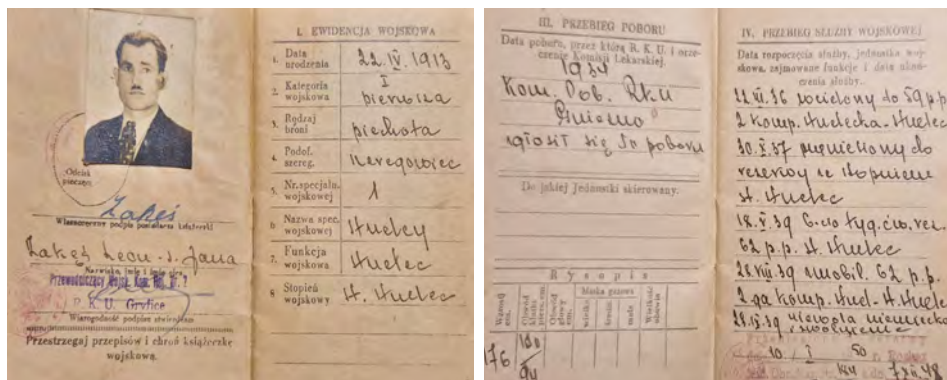
W każdej rodzinie znajdują się pamiątki po przodkach. Istnieją te pozostawione po to, by nie zapomnieć o kimś czy przypomnieć sobie daną chwilę, ale są też takie odnalezione przypadkowo po latach, które wraz z upływem czasu nabierają wyjątkowego charakteru. Jakkolwiek by tego nie ujmować, każda pamiątka to konkretna historia. Wartość tych przedmiotów będzie taka, jaką sami im przypiszemy. Czy będzie się zmieniać? To w dużej mierze zależy od nas.

Nasze życie wypełnione jest różnymi przedmiotami – dużymi, małymi, ważnymi, błahymi, szarymi, kolorowymi, tanimi, drogimi ... Ale czy przywiązujemy się do nich? Czy przechowujemy je? Czy podchodzimy do nich tylko w sposób konsumpcyjny? Świat się zmienia. Albumy ze zdjęciami zastępują nam wirtualne chmury czy płyty CD. Zabieganie i liczne obowiązki powodują, że rozmawiamy ze sobą krótko i szybko, a miejscem spotkań stał się dziś Internet. Okazją do rodzinnych wizyt są coraz częściej wyłącznie święta czy jubileusze. Nie ma już czasu na długie wieczorne rozmowy, przywołujące sentymentalne wspomnienia, barwne opowieści, śmieszne anegdoty rodzinne. Niestety, muszę obiektywnie stwierdzić, że i ja jestem częścią tej rzeczywistości. Dlatego uznałam, że podzielenie się historią o pamiętce przechowywanej w mojej rodzinie, choć na moment wyrwie mnie ze współczesności i będzie okazją do poznania losów moich przodków.

Mogłabym opowiedzieć o pradziadku Leonie, którego książeczkę wojskową skrzętnie przechowuje moja mama. Historia dwudziestosześcioletniego starszego strzelca, który 28 sierpnia 1939 roku zgłosił się do 62. Pułku Piechoty Wielkopolskiej, do drugiej kompanii strzelców, byłaby z pewnością ciekawa. A muszę dodać, i robię to z dumą, że pułk wziął udział w największym starciu kampanii wrześniowej – w bitwie nad Bzurą, a jego szlak bojowy zakończył się wraz z kapitulacją Warszawy, czyli 28 września 1939 roku. Tego dnia pradziadek został wzięty do niemieckiej niewoli. Ale nie opowiem dokładnie tej historii.

Nie przedstawię też opowieści o drugim pradziadku, Stanisławie Ligenzie, który jako nastolatek walczył o niepodległość Polski w I wojnie światowej, później brał udział w walkach z Niemcami podczas II wojny światowej, a za odwagę został wielokrotnie odznaczony.

Dlaczego nie chcę ukazywać wspomnień o moich przodkach w kontekście ich udziału w różnych działaniach zbrojnych? Pomyślałam sobie,



że opisywanie bohaterstwa obydwu dziadków byłoby rozwiązaniem dość prostym i zbyt oczywistym.

Zdecydowałam, że opowiem zupełnie inną historię. Będzie to wspomnienie o babci Romie i jej pierścionku z fioletowym oczkiem. Opowieść, choć osadzona w czasach II wojny światowej, ukazuje losy kilkuletniej dziewczynki, mieszkanki Krasiczyna.

Babcia Roma (a właściwie Romana) Ligenza, mama taty, urodziła się 23 lutego 1932 roku we wsi Krywopole. Trudno szukać tej wsi na mapie Polski, ponieważ znajduje się ona w dzisiejszej Ukrainie, na południe od Iwano-Frankowska. Przed II wojną światową były to tereny należące do Polski. Wybuch wojny zastał babcie w Krasiczynie, gdzie mieszkała z rodzicami. W jakich okolicznościach rodzina babci przeniosła się do Krasiczyna, nie wiem. Nie zdążyłam zapytać. Babcia zmarła 30 października 2022 roku.

Często wspominała o Krasiczynie. To wieś położona niedaleko Przemyśla. Tu mieszkali też inni członkowie rodziny babci. W okresie międzywojennym rodzina Ligenzów prowadziła tutaj sklep spożywczy. Jak opowiadała o swoim Krasiczynie, mówiła „mój Krasiczyn”. Jej twarz zawsze była rozpromieniona, jakby chciała powiedzieć, że jest dumna, że właśnie stamtąd pochodzi. Pamiętam, jak w opowieściach babci często pojawiał się zamek Sapichów. Gdy wybuchła wojna, mieszkał w nim książę Leon Sapiecha z rodziną. Babcia wspominała, że często chodziła do zamku z ojcem, który wraz z innymi mieszkańcami wsi mógł tam dostać dorywczą pracę – latem przy remoncie zamku czy w ogrodzie, zimą jako drwal w lesie. O rodzinie Sapichów babcia zawsze mówiła z szacunkiem, przedstawiała ich jako przyjaznych ludzi, niewywyższających się ze względu na swoje pochodzenie i majątek.

oraz bardzo związanych z okolicznymi mieszkańcami.

Nadszedł rok 1939. Lato było gorące. Ludzie cieszyli się, że żniwa się udały. Wybuchła wojna. Niemcy napadli na Polskę. Wszyscy mężczyźni ze wsi zdolni do walki poszli na wojnę, w tym ojciec babci, wspomniany wcześniej Stanisław Ligenza. Siedmioletnia babcia została z matką i starszą o dwa lata siostrą, podobnie jak jej czteroletnia kuzynka Bronka Mazuryk, która również mieszkała w Krasieczynie. W pierwszych dniach wojny obie dziewczynki nie zdawały sobie sprawy z tego, co się stało, nie były świadome zagrożenia. Plotły warkocze, bawiły się na podwórku tak jak zwykle. Ale z czasem front zbliżał się do Krasieczyna i potężne huki armat wrywały dzieci ze snu. Wtedy, jak wspominała babcia, poczuła, że jest jakieś zagrożenie. Mówiła, że z matką i siostrą oraz pozostałą rodziną chodzili schronić się do piwnic zamku, a książe Leon Sapieha nakazał nawet powycinać furtki w ogrodzeniu parkowym, by można było szybciej się ukryć. Front ominął Krasieczyn, wojsko polskie wkroczyło do wsi, a z nim wrócił pradziadek Stanisław.

Jednak mała Roma długo nie nacieszyła się obecnością ojca. On z kolei, czując, że ma obowiązek bronić kraju, po kilku dniach wraz z ojcem Bronki opuścił dom. Daleko nie zaszli. W okolicach Lwowa spotkało ich drugie uderzenie, tym razem wojsk sowieckich. Nie spodziewali się tego. Znaleźli się w dwóch frontach. Żołnierze zaczęli się poddawać, jedni szli do niewoli niemieckiej, drudzy do niewoli sowieckiej. Pradziadkowi i Mazurykowi udało się uciec – żołnierskie mundury zamienili na ubrania cywilne i wędrując nocą, wrócili do Krasieczyna. Mała Roma bardzo się ucieszyła z powrotu ojca, choć nadal niewiele rozumiała, w jakiej sytuacji znajduje się jej rodzina.

Krasieczyn był pod okupacją niemiecką. Mieszkańcy nie wiedzieli, jaki czeka ich los. Książe Sapieha zaczął pakować wartościowe rzeczy z zamku i wywozić je do Przemyśla, a stamtąd koleją do Krakowa. Pomagał mu pradziadek Stanisław. W podziękowaniu, oprócz umówionej zapłaty, otrzymał drobny upominek. Mały przedmiot. Był to złoty pierścionek z fioletowym oczkiem. Miał ślady użytkowania, oczko nie dawało już takiego blasku. Nawet nie wiadomo, czy znajdował się kiedykolwiek na palcu kogoś z rodziny Sapiehów. Wszystko to nie było jednak ważne. Dla Stanisława Ligenzy najistotniejsze było to, że otrzymał go na pamiątkę znajomości z księciem. „Nieprawdopodobne” – pomyślałam, gdy po raz pierwszy usłyszałam tę historię. – „Prawdziwa czy

nie? Przyjmuję, że tak było.”

Po paru dniach od wyjazdu księcia Sapiehy do Krasieczyna wkroczyli sowietci. Babcia Roma często mówiła: „Niemcy nie byli tacy źli. My baliśmy się sowietów”. Ja oczywiście, nie rozumiałam, co babcia ma na myśli i dlaczego tak mówi. Dopiero teraz, patrząc, co się dzieje za naszymi granicami w Ukrainie, coraz bardziej rozumiem jej słowa... Babcia, powtarzając opowieści swojej matki, wspominała, że do Krasieczyna przychodziło z okolic dużo różnych ludzi, aby przedostać się na drugą stronę granicy, do strefy okupowanej przez Niemców. Mówiła, że musieli oni przepłynąć rzekę San. Niemcy tolerowali przekraczanie granicy. Sowietci byli bezwzględni, strzelali do przepływających się ludzi.

Wraz z nadejściem 1940 roku zaczęły się wywózki. Wśród pierwszych zesłańców był daleki stryj babci, brat ojca Bronki, Jan Mazuryk z żoną i czwórką dzieci, którzy mieszkali w Górnej Dybawce. Później okazało się, że zostali wywiezieni na Sybir. Z wiosną przyszedł czas i na mieszkańców Krasieczyna. Rodzina babci z tego miejsca – ta bliższa i ta dalsza – czuła, że muszą się teraz trzymać razem, gdziekolwiek kazaliby im jechać. Któregoś wieczoru kazano spakować najpotrzebniejsze rzeczy – tylko tyle, ile można załadować na furmankę i rano trzeba było być gotowym do drogi. Babcia wspominała, że pamięta, jak jej matka biegła po całym domu w panice, nie wiedząc, co spakować, a co zostawić. I że tej właśnie nocy zawiesiła na jej szyi, na jakiejś grubszej nitce pierścionek z fioletowym oczkiem, mówiąc: „Pilnuj go dziecko”. Babcia wtedy nie знаła jeszcze historii tego pierścionka.

Rano, wraz z innymi mieszkańcami Krasieczyna, wyjechali furmanką do Przemyśla. Następnego dnia zostali załadowani do bydłych wagonów i wywiezieni w nieznaną. Babcia nie pamiętała, ile trwała podróż. Aż wreszcie pociąg się zatrzymał i kazali wszystkim wysiąść. Byli w Międzyrzeczu, na Wołyniu. Ale to nie był koniec ich podróży. Załadowali się do podstawionych furmanek i wyruszyli dalej w drogę. Szli ponad 20 km, aż dotarli do wsi Niewirków. Każda rodzina otrzymywała połówkę domu i zaczęli się w nich jakoś urządzać. Również rodzina babci. Ona sama wspominała, że wreszcie mogła zdjąć z szyi pierścionek i oddać mamie. Nie chciała go nosić, bo bała się, że go zgubi.

Jak opowiadała babcia, w nowym miejscu starali się normalnie żyć. Trzeba było rozpocząć wiosenne siewy i sadzenie kartofli. Nie mieli jednak

ani nasion, ani sadzeniaków. Miejscowi mieszkańcy, Ukraińcy, przyszli z pomocą. Dali nie tylko ziarna i sadzeniaki, ale też pomogli w pracach w polu. Z czasem zrodziły się głębsze znajomości, a nawet tworzyły się rodziny, bo młodzi zakochiwali się w sobie.

Wkrótce były święta Bożego Narodzenia. Bez choinki. A potem przyszła Wielkanoc. Mama Bronki malowała kolorowe pisanki. Spodobały się miejscowym kobietom i zaczęły ponoć przynosić jajka, by i im takie zrobić.

Jesienią we wsi pojawili się Niemcy. Zamknięto młyny, zakazano hodowli świń. Coraz trudniej było zdobyć jedzenie. Zbliżała się zima. Zaczęło brakować ubrań i butów. Ludzie radzili sobie jak mogli, sprzedawali cenne rzeczy, by utrzymać rodzinę. Pamiętam, jak babcia mówiła, że mama Bronki robiła buty ze słomy – plotła z niej cienkie warkocze, a potem je zszywała. Mimo biedy, mama babci nie sprzedała pierścionka. Był skrzętnie przechowywany w lnianym, niepozornym woreczku w torebce prababci. Dlatego w torebce, by w razie zagrożenia nie szukać go. Stawał się on coraz bardziej cenny (choć nie znano jego prawdziwej wartości, nawet nikt nie pomyślał, żeby to sprawdzić), bo – jak mówiła babcia – przypominał im Krasieczyn. Czasem wieczorem wyciągali go i wspominali różne historie z Krasieczyna.

Wiosną 1942 roku rodzina Bronki postanowiła wrócić do domu, do Krasieczyna. Bliscy babci pozostali na Wołyniu. Robiło się coraz bardziej niebezpiecznie, bo – jak wspominała babcia – po wkroczeniu Niemców na Wołyń, stosunek Ukraińców do Polaków się zmienił. Ponoć kobiety ukraińskie przekazywały sobie w pieczywie instrukcje, co należy „zrobić” z Polakami. Po otrzymaniu takiego chleba z kartką w środku, piekło się nowy i zanosilo dalej. Trzeba było uciekać, choć nie wszyscy Polacy czuli to zagrożenie.

Nie wiem, w jaki sposób babcia opuściła Niewirków. Nie zdążyła, a może nie chciała opowiedzieć. Ale dość często wspominała, jak już jako dziesięcioletnia dziewczynka, w 1943 roku, wracała do Krasieczyna w pociągu towarowym jadącym do Przemyśla, który wiozł rudę. Jechała sama z ciotką (siostrą mamy) oraz z innymi członkami rodziny, z pierścionkiem na szyi, który tym razem dostała na czarną godzinę. Nie mówiła, co się wtedy działo z jej mamą i starszą siostrą, z ojcem. W książce, którą po śmierci babci tata przyniósł do domu wraz z innymi pamiątkami, a którą napisała Bronka, czyli Bronisława Mazuryk, przeczytałam, że zostali na Wołyniu. Dlaczego?

Nie wiem. Jak uciekli z Wołynia? Tego też nie wiemy.

Wracając do powrotu do Krasiczyna, babcia opowiadała wielokrotnie, że dobrze pamięta tę podróż. Jechali otwartym wagonem tydzień. Było bardzo gorąco. Ciotka, wyruszając w drogę, zebrała jajka od kur i schowała je do fartucha. Podczas podróży potłukły się, wydzielając charakterystyczny zapach. Babcia wspominała tę historię jako anegdotę. Zawsze śmiała się z tego. Ale opowiadając ją, powtarzała znane mi już zdanie: „Niemcy nie byli tacy źli. My baliśmy się Sowietów”, i wspominała, że podczas postoju na stacji Niemcy podawali im wodę i puszczały dalej. I tak wrócili do Krasiczyna.

Po wojnie rodzina babci, czyli mama, ojciec i siostra, razem z nią wyjechali na ziemie zachodnie, do Polczyna. Tam babcia poznała dziadka Leona. Całą rodziną osiedlili się w Szczecinie. Babcia, wychodząc za męża, otrzymała od swojej mamy pierścionek z fioletowym oczkiem jako rodzinną pamiątkę. Pamiętam, że babcia go nosiła. Zdjęła go, jak szła na operację. Tata przyniósł go wtedy do domu i dał mojej mamie, bo tak życzyła sobie babcia Roma. Teraz jest on bezcenną pamiątką po babci, którą i ja kiedyś przejmę, by opowiadać o jej życiu jako kilkuletniej dziewczynki moim dzieciom, a potem wnukom. Mam też nadzieję, że jak skończy się wojna w Ukrainie, pojedziemy w strony rodzinne babci, by w końcu zobaczyć te piękne krajobrazy, które barwnie opisywała, odwiedzić miejsca, gdzie się wychowywała i do których tak tęskniła, by zobaczyć drogę, jaką pokonywała babcia z pierścionkiem na szyi.

Bianka Barwińska

Szkoła Podstawowa nr 2 im. Leonida Teligi w Kamieniu Pomorskim

Dwa światy



Miała cudowne, spokojne dzieciństwo. Była jedną z czworga rodzeństwa. Najmłodszą i przez wszystkich kochaną. Mieszkała w jednym z najpiękniejszych miast Rzeczypospolitej – we Lwowie. Była drobną, ciemnowłosą dziewczynką o piwnych oczach. Jak większość dzieci miała marzenia, ale los sprawił, że nieprędko mogły się one spełnić. Maria, Marysia, a w skrócie Rysia – tak była nazywana przez najbliższych.

W wyobraźni powraca do miasta dzieciństwa, do ludzi których spotkała na swojej drodze. Pamięta przyjemne chwile, ale również momenty grozy, szybkiego pakowania i trwogi o życie.

Wcześniej nauczyła się czytać. To dzięki starszemu rodzeństwu. Miała sporo własnych książek. Do dzisiaj pamięta wiersze Tuwima, Brzechwy, Jachowicza... Recytuje je wnukom i prawnukom. Lubiła dziecięce czasopisma. Najbardziej zapamiętała „Płomyczek” wydawany od 1927 roku. Kupowała go po wojnie swoim dzieciom.



TRZY MIKI WYJEŹDZAJĄ Z AMERYKI

W wielkiej Ameryce, w wielkim mieście, w wielkiej kamienicy jest czterdzieści pięć okien w jednym rzędzie. Czy liczyć od dołu do góry, czy z góry na dół – czterdzieści pięć.

W okienku trzecim mieszka dwoje dzieci.

Okno czwarte jest ciągle otwarte.

A okienko szóste jest najczęściej puste.

Trzydzieste trzecie ma doniczkę na parapecie.

A u samej góry wiszą z bielizną sznury.

A to z rozbitą szybką, na ostatku, to właśnie Mików jest chatka.

W chatce chłodno i głodno. Pani Mikusiowa resztki słoninki na dwóch węgielkach praży. Małe córki, bliźniaczki - trojaczki siedzą cicho w kąciku. Za rozbitą szybką pada śnieg cichutko, gęściutko. Pani Mikusiowa wdycha głęboko:

— Bieda przyszła córuchny. Nie mam co dać wam zjeść. Ostatnia słoninka, ostatnie węgielki...

Małe Miki w świat biały przez szybkę patrzą. Padają na rynnę śniegowe płatki: pac, pac... Wiatr

Tak! – Książki zawsze były dla niej ważne. Szczególna rola przypadła zachowanej do dzisiaj książce Jadwigi Korczakowskiej – „Trzy Miki z Ameryki”.

To ona stała się rodzinną pamiątką, która towarzyszyła jej w różnych momentach życia: tych przyjemnych, jak i tragicznych. Książka została wydana w 1933 r. przez Towarzystwo Wydawnicze „Bluszcz”. Ilustracje wykonał polski malarz, Józef Korolkiewicz – uczeń Wojciecha Kossaka.

Warto wspomnieć, że koniec lat dwudziestych i początek trzydziestych łączy się z ogromną popularnością Mickey Mouse. Wielkim powodzeniem obok komiksów i filmów cieszyły się książki i czasopisma z tym bohaterem. Nawet jeden z polskich oddziałów walczących w Normandii w 1944 roku nosił dumnie na swoich pojazdach logo zaprojektowane przez studio Disneya. Patronem polskich żołnierzy była gwiazda kreskówek, Myszka Miki. Zatem Rysia była dumną posiadaczką swojej książki, do której wielokrotnie wracała.

Miasto dzieciństwa pamięta do dzisiaj. Często wspomina dwupiętrową kamienicę przy ulicy Lubeckiego 7, położoną na wzgórzu, skąd roztaczał się piękny widok na okolicę. Z najwyższego piętra można było zobaczyć tonący w zieleni Cmentarz Łyczakowski, kopiec Unii Lubelskiej i koszary na ul. Świętego Piotra, gdzie codziennie odbywały się ćwiczenia wojskowe. Zimą pamięta zjazdy na sankach w stronę ulicy Zielonej, która była niżej położona. Lwowski świat Rysi nie ograniczał się jedynie do najbliższych okolic. Wspomina najpiękniejszy i największy park Stryjski, gdzie znajdował się okrągły budynek z Panoramą Raclawicką – Jana Styki. Ogromne wrażenie robił na małej dziewczynce Pasaż Mikolascha, gdzie znajdowały się sklepy, zakłady usługowe i kino „Uciecha”. To tam obejrzała swój pierwszy w życiu film „Królową Śnieżkę i siedmiu krasnoludków”. Był to pierwszy pełnometrażowy film Walta Disneya. Poza tym w pasażu Mikolascha można było mile spędzić czas za kawiarnianym stolikiem i zjeść pyszne lody lub ciastko.

Wakacje 1939 r. Rysia spędziła u babci w Lubyczy Królewskiej. Wspomina smak chleba, kąpiele w rzece Solokii i zabawy z rówieśnikami. Te chwile nie trwały jednak długo, bo trzeba było wracać do rodzinnego Lwowa, gdyż pierwszego września Rysia miała po raz pierwszy pójść do szkoły. Wiele pozytywnych emocji klebiło się w głowie małej dziewczynki. W domu czekał piękny skórzany tornister wypełniony książkami, zeszytami i przyborami szkolnymi. Szkoła św. Zofii znajdowała się kilka ulic od domu.

Jednak 1 września 1939 r. Kuratorium Lwowskie zarządziło odroczenie roku szkolnego na czas nieograniczony. Nie bardzo rozumiała, co się dzieje. W pamięci pozostał nastrój przygnębienia, jakieś niepokojące rozmowy dorosłych i komentarze. Wielu lwowiaków było przekonanych, że nadlatujące nad miasto samoloty to tylko ćwiczenia. Rzeczywistość okazała się tragiczna.

Mimo napiętej sytuacji (do Lwowa wkraczają żołnierze Armii Czerwonej) szkoły podjęły pracę pod koniec września. Jednak życie szkolne zostało podporządkowane wydarzeniom politycznym. Z programów szkolnych usunięto religię, potem wprowadzono kolejne zmiany. Objęły one także podręczniki. Od tej pory prześladowane są inteligencję, uczonych i ludzi kultury. Potem dotyczy to kolejnych grup. Wkrótce rozpoczną się deportacje Polaków na Syberię. Trzynastego kwietnia 1940 r. wywózką objęto wyższych urzędników i rodziny wojskowych.

Świt 13 kwietnia 1940 r. był ponury. Z nisko wiszących chmur padał deszcz. Było jeszcze ciemno, gdy usłyszeli głośnie lomotanie do drzwi. Podobne do tego, kiedy rosyjscy żołnierze przyszli po tatusia, którego wcześniej zabrali w niewiadomym kierunku. Tym razem pozostała część rodziny usłyszała rozkaz, że trzeba opuścić dom. Roztrzęsiona mama obudziła całą czwórkę i przy pomocy sąsiadki pospiesznie zaczęła pakować niezbędne rzeczy. Siedmioletnia Rysia wzięła swój nowy, skórzany tornister, który teraz miał całkiem inną funkcję. Stał się plecakiem, który zabiera się w długą, nieznaną, niebezpieczną podróż. Wśród niezbędnych rzeczy w jej bagażu znalazła się szmaciana lalka Ludka i ulubiona książeczka – „Trzy Miki z Ameryki”, która wraz z właścicielką trafiła na nieludzką ziemię.

Po dwóch tygodniach wyczerpującej podróży rodzina znalazła się w północno-wschodnim Kazachstanie, w obwodzie kustanajskim.

Dookoła bezkresny step. Surowy klimat. Upalne lata i bardzo ciężkie zimy. Przesiedleni Polacy trafiali do domów miejscowej ludności. Musieli zapracować na życie, więc mama i starsze rodzeństwo zostali skierowani do ciężkiej, wyczerpującej pracy w kolchozie. Przed nimi ciągnęła walka o kawałek chleba, choroby i niepewne jutro.

Dla kilkuletniej dziewczynki najważniejsza była rodzina. Bardzo tęskniła za tatusiem, ale na szczęście była wśród najbliższych, którzy wspierali ją na każdym kroku. Towarzyszem dziecięcych zabaw był Jacek, chłopiec z tej samej lwowskiej ulicy, który do Kazachstanu trafił ze swoją mamą w tym samym transporcie. Razem biegali po bezkresnym stepie, który w czasie kwitnienia pierzastych traw wyglądał jak falujące morze. Próbowali rozpoznawać rośliny, korzystając z atlasu botanicznego przywiezionego przez Jacka. Przeżywali niebezpieczne spotkania z wilkami. Często nie zdawali sobie sprawy z zagrożeń.

Zimowe wieczory nie sprzyjały pobytom poza domem. Panowały bardzo niskie temperatury. Odmrożone ręce, nogi, uszy dawały o sobie znać nawet po latach. W ziemi także panowały niskie temperatury, które powodowały

oszronienie ścian. W nikłym świetle karbidówki Rysia po raz kolejny czytała kartka po kartce swoją ulubioną książeczkę, odkrywając za każdym razem coś nowego. Tym razem jej wzrok przykuły słowa z pierwszego rozdziału wypowiedziane przez mamę trzech myszek: – „Bieda przyszła, córuchny. Nie mam co dać wam zjeść. Ostatnia słoninka, ostatnie węgielki...”. Czy sytuacja, jaka panowała w syberyjskim domu Rysi, nie była podobna? Do tych słów dziewczynka wracała wielokrotnie, gdy czegokolwiek brakowało.



Opisana przeze mnie książeczka pt. „Trzy Miki z Ameryki” stoi na honorowym miejscu w bibliotece mojej prababci, Marii Warzbińskiej – (Rysi Hładuszówny). Jest cenną rodzinną pamiątką, która razem ze swoją właścicielką wróciła po sześciu latach z nieludzkiej ziemi do upragnionej Polski. Niestety, niemożliwy był powrót do rodzinnego domu we Lwowie. Miasto pozostało jedynie w snach i wspomnieniach. Nowym miejscem zamieszkania stało się Pomorze Zachodnie. Cała rodzina szczęśliwie przetrwała wojnę, by spotkać się w komplecie po powrocie ojca Stefana i brata Zbigniewa z Armii Andersa.

Indeks osób:

- Rysia – Maria Warzbińska z domu Hładusz – prababcia autorki, emerytka Urzędu Miasta i Gminy w Kamieniu Pomorskim,
- Jacek – Jacek Furdyna, kolega Rysi, wybitny fizyk, profesor Uniwersytetu Notre Dame, Indiana, Stany Zjednoczone, doktor honoris causa Uniwersytetu Warszawskiego
- Stefan Hładusz – ojciec Rysi, żołnierz 3 Dywizji Strzelców Karpackich, 36 Kompanii Ratowniczej, który po aresztowaniu we Lwowie trafił do obozu w Dudince, za kołem podbiegunowym.
- Zbigniew Hładusz – brat Rysi, kanonier, żołnierz 3 Dywizji Strzelców Karpackich

Mikołaj Górski

Szkoła Podstawowa nr 3 im. Adama Mickiewicza w Łobzie

„Cudowny obrazek prababci Adeli”



*„(...) każda sekunda walczy o to, by trwać jak najdłużej,
nim zamieni się w przeszłość”*

Christopher Paolini

Pamiętki rodzinne...

Dla mnie pamiętki rodzinne to zdjęcia, dane momenty z życia, wspomnienia, różne przedmioty, wpisy w pamiętnikach, kroniki, albumy, jednym słowem, wszystko to, co jest dla nas ważne i wartościowe. To rodzinne dziedzictwo, które możemy opisać, pokazać, dotknąć, wrócić myślami do przeszłych czasów i opowiedzieć o nich innym. To przekazywanie z pokolenia na pokolenie znanych, często niezwykle emocjonalnych opowieści, które zostaną w ten sposób zachowane dla przyszłych członków rodziny.

Dla mnie taką ważną pamiętką jest obrazek mojej prababci Adeli Leśnej z domu Bawół, urodzonej we wsi Pary, niegdyś województwo zamojskie, dzisiaj lubelskie. Przedstawia on Matkę Boską z dzieciątkiem Jezus. Obrazek jest bardzo stary. Prababcia dostała go jeszcze przed wybuchem II wojny światowej, a zatem przed rokiem 1939, od swojego taty. Historia tego świętego przedmiotu jest niebywale interesująca...

Życie zwykłej kobiety...

Życie prababci Adeli nie było łatwe. Ze wspomnień moich najbliższych wynika, że wyznaczały je trud i ciężkie warunki, często walka o przetrwanie. Kobieta przeżyła II wojnę światową (1939-1945) oraz powstanie warszawskie (1 sierpnia – 3 października 1944 r.). W bardzo młodym wieku straciła rodziców i została sama z kilkumiesięcznym braciszkiem Aleksandrem. Musiała szybko dorosnąć, radzić sobie, być rodzicem i siostrą jednocześnie, dbając o jedzenie, ubrania i dach nad głową, bo należało przetrwać, nawet wtedy, kiedy było beznadziejnie i niemal bez wyjścia... Myślę jednak, że skoro przeżyła to piekło na ziemi, nie poddała się i wciąż czuła chęć życia, to musiał jej ktoś po cichutku w tym pomagać... Ale kto?!

Opowieść dziadka Janusza...

Odpowiedzi na to pytanie udzielił mi pewnego marcowego ranka 2023 r. mój dziadek Janusz Leśny, syn Adeli, który obecnie mieszka, tak jak ja,

w Łobzie. Opowiedział mi wtedy interesującą historię z obrazkiem w tle.

– Usiądź, wnusiu, przybliżę ci historię pewnego obrazka. Obrazka, który ocalił życie dzięki swojej nadzwyczajnej mocy... – zaczął z lekkim wzruszeniem.

Pomyślałem sobie wtedy, że brzmi to jak porywająca opowieść z dzieciństwa, gdzie dobro zawsze wygrywa, a bohater potrafi poradzić sobie z największymi wyzwaniami, dlatego usiadłem i z zainteresowaniem słuchałem słów dziadka.

– Niedawno byłem na wsi, w Bieczynie (woj. zachodniopomorskie, niedaleko Mrzeżyna) – mówił dalej dziadzio. – Wiesz, tam, gdzie kiedyś mieszkała twoja prababcia Adela z pradziadkiem Stasiem, już po wojnie. Robiłem porządki w starym domu i zabrałem kilka przedmiotów, wśród których był także taki oto obrazek – tu przerwał, by podać mi do ręki przedmiot. – Możesz się nim opiekować – kontynuował – jeżeli tylko chcesz, bo to cenny dar. To pamiątka rodzinna, bardzo stara i drogocenna...

Kiedy wziąłem obraz w dłonie, okazało się, że przedstawia on Maryję z Jezuskiem. Byłem zdziwiony, ale i zaskoczony, że taki stary przedmiot jest w posiadaniu naszej rodziny. Miałem wiele pytań, ale dziadek mnie uprzedził:

– Gdy byłem mały, moja mama Adela, a twoja prababcia, przekazała mi ten obrazek, a wraz z nim jego historię. Teraz dzielę się tą wiedzą z tobą. Kiedy dorośniesz, proszę, opowiedz o tym swoim dzieciom – rzekł wzruszony dziadzio i po chwili mówił dalej. – Kiedyś, gdy twoja prababcia Adela była dziewczynką, dostała od swojego tatusia na szóste urodziny ten przedmiot, aby ją chronił przed wszelkim złem. Prababcia Adela dbała o niego, nosiła go zawsze ze sobą, czuła, że jest dla niej z jakiegoś niewyjaśnionego powodu bardzo ważny. Przyszłość pokazała jej dlaczego...

Przedmiot o wielu znaczeniach...

Dawniej nie było zabawek jak teraz w sklepach. Ludzie bardziej cenili to, co mieli, zwykle, codzienne rzeczy sprawiały im wiele radości. Gdy ktoś dostał jakąś niespodziankę, to bardzo się z niej cieszył. Każdy przedmiot miał znaczenie. Dowiedziałem się od dziadka, że moja prababcia bardzo cenila ten obrazek. Okazało się, że nawet, gdy jeździła z rodzicami do centrum Warszawy po zakupy, to zabierała go ze sobą. Był z nią zawsze i wszędzie. Dawał poczucie bezpieczeństwa, był rzeczą, która kojarzyła się jej ze spokojem, domem i szczęściem rodzinnym. Był jak dla niektórych dzieci ulubiona przytulanka.

Tak! Dla mojej prababci obrazek z Bożą był najważniejszy!

Dziadek w swojej historii przytoczył mi także słowa tatusia Adeli, który, wręczając jej święty przedmiot, powiedział: Niech Cię chroni córeczko przez całe życie. Nigdy nie wiemy, co nas spotka, módl się do Boży tak, jak ciebie uczyłem i dbaj o ten obrazek. Traktuj go z szacunkiem.

I tak też było. Po stracie rodziców moja prababcia została z małym braciszkiem sama na świecie. Chociaż nie do końca... Miała przy sobie także obrazek, który nabrał dla niej już innego, nowego znaczenia. Czula jego moc, wartość ponad wszystko... Był ważniejszy od jedzenia, ubrań czy innych przedmiotów dlatego, że był jedyną pamiątką po ojcu, którego bardzo kochała, a który już odszedł. Zwykły – niezwykły obrazek. Gdy przyszły straszne czasy – rok 1939 r. i wybuch II wojny światowej Adela musiała opuścić dom rodzinny i uciekać z tych terenów jak najszybciej. Chwyliła parę rzeczy, w tym obrazek i ukryła się z braciszkiem przed atakiem Niemców, którzy nadciągali z każdej strony. Los chciał, że trafiła na obrzeża Warszawy. Było jej bardzo ciężko... Szła przez okopy Warszawy ubrudzona błotem, z małym dzieckiem na rękach i z tobołkiem na plecach, w którym był jej talizman. Szukała miejsca, w którym mogłaby się schować i ocalić siebie oraz swojego brata. Obrazek był przy nich.

Nadzieja...

Po wysłuchaniu dziadka, doszedłem do wniosku, że obrazek z Matką Boską ocalił rodzeństwo. Wierzę, że w tamtym czasie Bóg czuwał nad nimi i chronił swoją niezwykłą mocą. Prababcia modliła się często, ponieważ słowa Biblii dodawały jej sił. Nigdy się nie poddawała. Wierzyła, że przyjdą lepsze czasy i dobro powróci, a ona z bratem znów będzie szczęśliwa. Potem, w 1944 r. wybuchło powstanie warszawskie. Walka, cierpienie i ciągła troska o przeżycie towarzyszyły jej każdego dnia. Gdy wszystko ucichło 3 października 1944 r., moja prababcia mogła w końcu się gdzieś schronić na dłuższy czas i spróbować żyć „normalnie”. Codziennie zmagiała się z głodem i samotnością i modliła się gorliwie do Boga. Wyciągała swój obrazek, stawiała na stole i prosiła o siłę, żeby nigdy nie było już wojny, krzywdy i ludzkiego cierpienia. I tak obrazek służył jej przez lata. Z pomocą Boga dawała sobie radę dzień po dniu, rok po roku...

Po wojnie Adela wyjechała z Warszawy do wsi Bieczyno, gdzie mogła wrócić do spokojnego życia. Bez bomb, śmierci, głodu i wszechobecnego strachu. Osiedliła się z bratem w domku jednorodzinny. Żyli tak szczęśliwie

razem, aż Aleksander wyjechał w rejony województwa mazowieckiego, gdzie założył swoją rodzinę. W tym samym czasie prababcia poznała miłość swojego życia – Stanisława Leśnego i wzięła z nim ślub. Doczekali się także pięciorga dzieci: Janusza, Reginy, Danuty, Staszki i Heleny, które do dzisiaj żyją szczęśliwie we własnych, lokalnych ojczyznach w różnych częściach kraju. Prababcia żyła na wsi w spokoju i dostatku aż do listopada 2006 r., kiedy jej ukochany mąż Stanisław zmarł. Adela została w domu ze swoim wiernym psem Szarikiem (nazwanym tak na cześć psiego bohatera filmu pt. „Czterej pancerni i pies”). Oczywiście dzieci ją odwiedzały, ale prababcia bardzo tęskniła za mężem. Równo rok po jego śmierci, w 2007 roku, odeszła także i ona...

Od Boga dostała nowe i piękne życie, cudowną rodzinę i poczucie, że wszystkie trudy i cierpienia zostały w jej dorosłym życiu nagrodzone. Modlitwa, a przede wszystkim obrazek z Maryją i Jezusem bardzo ją wzmocnił, stał się jej ratunkiem i pocieszeniem, a także wspomnieniem wspaniałych chwil z tatą. Bardzo dziękowała swojemu tatusiowi za podarowanie jej tego obrazka...

O historię trzeba dbać...

Gdy otrzymałem od dziadka Janusza ten obrazek, zobaczyłem, jak wygląda. Był on średniej wielkości, w fatalnym stanie. Górną część pamiątki zdobiły postacie i symbole biblijne. Jej brązowo-niebieski kolor wypłowiał. Miała drewnianą ramkę, która była spróchniała i ledwo się trzymała w całości. W środku za szkłem znajdował się wizerunek Matki Boskiej w koronie oraz małego Jezusa. Całość była nieco sfatygowana. Zrobiło mi się jej szkoda, więc poszedłem do sklepu, w którym kupiłem nową ramkę. Potrzebowałem pomocy, aby nie uszkodzić obrazka, więc poprosiłem moją babcię Zosię Leśną, żonę dziadka Janusza i delikatnie wyciągnęliśmy obrazek ze starej ramki, która się zaraz rozsypała ze starości... Leciutko zmiotłem pędzelkiem resztki zniszczonego obrazka z wewnętrznej strony portretu Maryi, po czym otworzyłem nową ramkę i przelożyliśmy do niej zawartość. Teraz pięknie się prezentuje w ramce mimo ubytków, które na nim widać. Jest zabezpieczony. Dbamy o niego. Gdy zobaczę, że osadza się na ramce kurz, wycieram go ściereczką. Wizerunek Matki Bożej z Dzieciątkiem stoi na komodzie w pokoju, w centralnym punkcie domu i przypomina nam, jaka jest historia naszej rodziny i jak ważni są przodkowie.

Wiara czyni cuda...

Osobiście nie znalazłem mojej prababci, bo zmarła w 2007 roku, kiedy mnie nie było jeszcze na świecie. Wiem jednak z opowieści, że była dobrym człowiekiem, o złotym sercu, pomimo tego wszystkiego, co przeszła. Pomagała sąsiadom i innym ludziom, jak tylko potrafiła i sama w zamian otrzymywała pomoc.



Utrzymywała się z pracy w gospodarstwie, ale to wystarczało, by żyć godnie i spokojnie. Była patriotką oraz wierzącą katoliczką, która szczególnie czciła Maryję. Historia mojej prababci pokazuje, że wiara czyni cuda... Trzeba zawsze ufać w to, że wszystko się uda, nawet jeśli sytuacja jest dramatyczna. Wraz z moimi rodzicami wierzę, że ten obrazek ma ogromną moc. Był tarczą chroniącą od złych rzeczy, był źródłem wiary i modlitwy w czasach wojennych. Wtedy chronił Adelę z braciszkiem. Dzisiaj osłania nas w codziennym życiu.

Bezcenny skarb...

Nie potrafię zrozumieć, jak to się stało, że obrazek z Matką Boską po wielu tragicznych przejściach wytrzymał taki upływ czasu. Ma on dzisiaj prawie 100 lat, chociaż dokładnej daty zakupu przez tatę Adeli nie znam... Zdaję sobie sprawę też z tego, że gdyby nie moja prababcia, gdyby nie dbała o niego, nie pilnowała go i nie ukrywała, dzisiaj mógłbym nie wiedzieć o nim i o jego niezwyklej historii. Ten obrazek jest dla mnie bezcenny i niesamowity. Nie dość, że jest starszy o wiele lat ode mnie, to na dodatek przeszedł więcej niż można sobie wyobrazić. Wpisuje się w niego smutek, ból, ale i radość oraz nadzieja. Jego historia zachwyca mnie za każdym razem tak samo.

Cieszę się, że poznałem tę opowieść i mogę pochwalić się tym

cudownym przedmiotem z innymi, a także przybliżyć drogę, którą przebył od prababci Adeli do mnie – jej prawnuka.

Rzeczy rodzinne są bardzo cenne. Szerzenie wiedzy na ich temat także. Gdybyśmy nie dbali o pamiątki rodzinne, wiele historii mogłoby nie przetrwać do dziś. Pamięć o nich by zaginęła. Mówiąc o nich, zgłębiany wiedzę o swoich przodkach, uczymy się o przeszłości i wyciągamy naukę na przyszłość. Wzbogacamy siebie i swoich bliskich w wiedzę, o której nikt by nie miał pojęcia. W wiedzę o przedmiotach z duszą. W wiedzę o zwykłych – niezwykłych bohaterach i ich historiach, które dzięki nam przetrwają...



Miłosz Grinczelis

Pierwsza Szkoła Podstawowa Montessori w Szczecinie



Naszą cenną pamiątką rodzinną jest święty obrazek pradziadka Jana Nowakowskiego. Z opowiadań wynika, że dostał go od zakonnika, będąc na odpuszcie ze swoją mamą – Pauliną Nowakowską z domu Lewicką. Wiem od dziadka Stanisława, że obrazek wiele znaczył dla pradziadka. Rzadko się z nim rozstawał, nosił go przy sobie w ważnych momentach życia i modlił się do niego.

Zaintrygowała mnie ta pamiątka rodzinna i historie z nią związane, często wspomniane przez najbliższych. Obrazek przedstawia Matkę Boską w koronie, z Dzieciątkiem Jezus w ramionach, wznoszącą się nad okazałym, nieznanym bliżej monumentem na wzgórzu. Na odwrocie obrazka jest poruszająca modlitwa, którą pradziadek często cytował. Moje zainteresowanie historią oraz charakter detektywistyczny nie pozwolił przejść obok pamiątki obojętnie. Wewnętrznie czułem, że historia obrazka skrywa coś więcej. Nikt z żyjących osób w rodzinie nie potrafił powiedzieć co dokładnie przedstawia obrazek oraz dlaczego pradziadek tak bardzo wierzył w jego niezwykłą moc. Głównie moja ciekawość i chęć odkrycia prawdy stała się motywacją do poszukiwań.

Zacznę od kilku zdań o pradziadku, żeby lepiej zrozumieć historię i znaczenie obrazka. Pradziadek urodził się 14 listopada 1907 roku w Białokrynicy na Wołyniu. Miał trzy siostry i głuchoniemego młodszego brata Juliana. Gdy rozpoczęła się II wojna światowa najbliższa rodzina pradziadka: mama, brat, najstarsza siostra wraz z rodziną zostali zamordowani przez banderowców. Pradziadkowi udało się ująć z życiem, gdyż praprababcia Paulina kazała chować się synowi wraz z kuzynem Kazimierzem Śliwińskim w lesie. Co noc chłopcy wchodzili na wysokie drzewa, przypinali się pasami i czekali do świtu. Pradziadek opowiadał, że banderowcy najczęściej przychodzili nocą, mordowali ludność i palili ich domy.

W 1943 roku utworzono I Dywizję imienia Tadeusza Kościuszki, do której pradziadek zgłosił się na ochotnika i został wcielony do piechoty. Opuszczając rodzinne strony, pożegnał się z pozostałą przy życiu rodziną i przyjaciółmi. Zabrał ze sobą jedynie obrazek, który miał chronić go od złego, oraz nadzieję, że wojna się skończy i spotka się jeszcze z najbliższymi. Z Sum ruszyli w kierunku Warszawy, gdzie pradziadek został ranny na Pradze. Zawsze powtarzał i głęboko w to wierzył, że modlitwa do Matki Boskiej z obrazka uratowała mu w tamtej chwili życie. Z Warszawy ruszyli na Berlin, tocząc walki z Niemcami doszli do Wału Pomorskiego. Pod Mirosławcem pradziadek ponownie został ranny, tym razem w biodro ze snajpera i po raz kolejny uszedł z życiem, jak twierdził, za sprawą modlitwy do Matki Boskiej.

Pradziadek opowiadał, że brakującą część obrazka oderwała kula, która go postrzeliła. Tym razem obrażenia były na tyle poważne, że pradziadek trafił do szpitala rosyjskiego w Białogardzie. Po zakończeniu wojny, pradziadek został zwolniony ze służby wojskowej i osiadł na Ziemiach Odzyskanych w Drawsku Pomorskim. Z pomocą Polskiego Czerwonego Krzyża odnalazł rodzinę, której udało się przeżyć wojnę. Dwie siostry pradziadka: Emila Nowakowska, która zaadoptowała siostrzenicę Felicję (córkę zamordowanej siostry) oraz Marcelina Śliwińska wraz z rodziną, przyjechały z Wołynia do Drawska Pomorskiego gdzie się osiedlili.

W 1975 roku pradziadek został odznaczony „Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski”, w 1976 r. został odznaczony „Medalem Zwycięstwa i Wolności 1945” nadanym przez Ministra Obrony Narodowej. W 2001 roku Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej mianował Jana Nowakowskiego, nie będącego w służbie wojskowej czynnej ze stopnia szeregowego na stopień podporucznika Wojska Polskiego.

Mimo sędziwego wieku, co niedzielę szedł do kościoła, ubrany w świąteczny mundur wojskowy z przypiętymi orderami. W kieszonce munduru miał książeczkę ze swoim obrazkiem, który go chronił i był z nim w najcięższych chwilach jego życia aż do ostatnich dni. Pradziadek zmarł w wieku 94 lat. Do ostatnich dni opowiadał o swoich przeżyciach wojennych. Zawsze podkreślał jak ważna jest wolność, że warto było o nią walczyć, że pięknie jest żyć w wolnej Polsce.

Po obejrzeniu obrazka, który do dnia dzisiejszego znajdował się w kieszeni munduru pradziadka, po usłyszeniu licznych historii opowiadanych przez najbliższych, postanowiłem odkryć co on dokładnie przedstawia, bo na to pytanie nikt z krewnych nie potrafił jednoznacznie odpowiedzieć. Wszystkie szlaki wskazywały, że na obrazku jest jeden z zabytków z Krzemieńca, jednak nie znalazłem nic o podobnej architekturze w tym mieście. Rozszerzyłem poszukiwania o kolejne miejscowości w promieniu 100 km od miejsca narodzin pradziadka.

Po długich poszukiwaniach w Internecie i studiowaniu mapy, udało się rozszyfrować, że budynek z obrazka przedstawia Kościół św. Michała i Klasztor bernardynów w Zaslaviu. Pradziadek mieszkał 107 km od klasztoru. W tamtych czasach wierni z okolic chodzili na pielgrzymki do kościoła w Zaslaviu. Fundatorem klasztoru był książę Janusz Zasławski, architektami Jakub Madlain i Bernard Awelides. Budowa trwała od 1602 do 1630 roku.

W drugiej kolejności natknąłem się w Bibliotece Narodowej na kronikę zakonną kościoła i klasztoru, w której znalazłem odpowiedź, na nurtujące mnie pytanie. Fundator klasztoru oddał do kościoła „Cudowny Obraz Przenajdostojniejszej Maryi Panny”, który od wieków przechowywany był w skarbcu księżęcym. Obraz był namalowany na cienkim płótnie, niestety autor nie jest znany. Po porównaniu obrazka pradziadka i obrazu z ołtarza w kościele, jestem pewien, że przedstawia tę samą postać Matki Boskiej w pięknej zdobnej koronie z dzieciątkiem Jezus w ramionach.

Bracia Zakonni oraz wierni wierzyli w uzdrawiającą moc Matki Boskiej z obrazu umieszczonego w głównym ołtarzu w kościele. W chorobie i trwodze modlili się do niej i śpiewali litanie. Obraz zaczął służyć z cudów, które bracia spisywali w kronikach. W czasie powstania Chmielnickiego 1648 roku klasztor został zniszczony, obraz udało się w tajemnicy przetransportować i ukryć w kościele w Rzeszowie, dzięki czemu ocalał. Klasztor został splądrowany, popadł w ruinę. Dopiero w latach 1727-1780 odbyła się rekonstrukcja, wierni dopytywali o cudowny obraz jednak miejsca obrazu nikt z obecnych nie znał. Wszyscy Obawiali się, że został spalony. Dopiero ponad 100 lat później, Stanisław Kotwicki – ojciec kronikarza Benedykta, który zapadł na śmiertelną chorobę, miał widzenie, w którym objawił się obraz Matki Boskiej. Po lewej stronie obrazu stał Kozak, po prawej kalmuk. Kozak przemówił, żeby chory oddał się w protekcję Matki Boskiej. Śmiertelnie chory z dnia na dzień wyzdrowiał. Los pokierował go do kościoła w Rzeszowie. Chciał zamówić mszę z podziękowaniem dla Matki Boskiej. Gdy wszedł na zakrystię zobaczył księdza robiącego porządki, który wyjął spod szafy rulon, poprosił o pomoc w rozwinięciu, Stanisław rozpoznał w nim obraz, który mu się objawił w ciężkiej chorobie. Informacja o całym zdarzeniu szybko się rozeszła. Wierni z Zaslavia mimo upływu lat pamiętali obraz Matki Boskiej, gdyż historie o cudach, które miały miejsce, przekazywane były z pokolenia na pokolenie. Obraz został przywrócony do Kościoła Zaslawskiego. Ksiądz Benedykt Kotwicki jak i inni wierni doznali wielu łask.

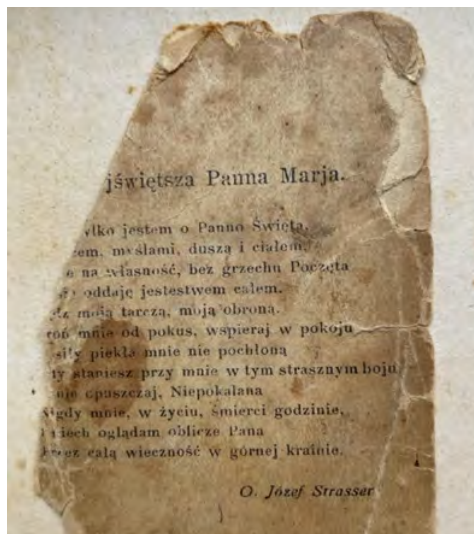
Opisał je w kronikach i z wdzięczności dla Matki Najświętszej napisał pieśni ku Jej czci. Myślałem, że jedna z tych pieśni to modlitwa zapisana na odwrocie pamiętki. Okazało się, że to inna, równie wzruszająca modlitwa. Mimo uszczerbku obrazka i brakujących pierwszych słów udało się rozszyfrować treść modlitwy, cytuję.

*„Najświętsza Panna Maryja.
Twój tylko jestem o Panno Święta.
Sercem, myślami, duszą i ciałem.
Weź mnie na własność bez grzechu Poczęta
Tobie się oddaję jestestwem całym.
Bądź moją tarczą, moją obroną.
Chroń mnie od pokus, wspieraj w pokoju
Złe siły piekła mnie nie pochłona
Gdy staniesz przy mnie w tym strasznym boju
Mnie nie opuszczaj, Niepokalana
Nigdy mnie w życiu, śmierci godzinie,
Niech oglądam oblicze Pana
Przez całą wieczność w górnej krainie.”*
O. Józef Strasser

Jestem szczęśliwy, że udało mi się odkryć historię pamiątki rodzinnej, która tak wiele znaczyła dla mojego przodka, a teraz tak wiele znaczy również dla mnie i mojej rodziny. Obrazek Matki Boskiej z Dzieciątkiem, modlitwa oraz głęboka wiara, pomogły przetrwać pradziadkowi najcięższe chwile, gdy walczył o wolną Polskę, również o swoje życie. Gdy pradziadek opuszczał Białokrynice zabrał obrazek, który kojarzył się z mamą, z domem rodzinnym, w którego niezwykłą moc głęboko wierzył. Poszukiwania prawdy, o tym, co dokładnie przedstawia pamiątka rodzinna, były dla mnie dużym wyzwaniem, dzięki którym cofnąłem się aż do XVII wieku. Bardzo ciekawe było czytanie i rozszyfrowywanie kronik klasztornych pisanych staropolszczyzną. Ubolewam, że klasztor został przekształcony na więzienie a sam obraz zagiął. Prawdopodobnie został zniszczony w 1943 przez UPA, której żołnierze splądrowali i spalili kościół. Jedyne co zostało po Matce Boskiej Zasławskiej to pieśni Benedykta Kotwickiego i może właśnie obrazek mojego pradziadka.

Mój dziadek Stanisław ofiarował mi naszą pamiątkę rodzinną. Obiecałem, że należycie się nią zaopiekuję i przekażę historię kolejnym pokoleniom. Oprawiłem obrazek w ramkę, powiesiłem na ścianie, żeby pamiętać o pradziadku, oraz Matce Boskiej Zasławskiej, aby mimo upływu lat była wciąż żywa w naszym domu. Jestem dumny, że mój pradziadek walczył o wolną Polskę i dzięki takim patriotom jak on mieszkamy w wolnym kraju. Dokonam wszelkich starań aby pamięć o nich nigdy nie zginęła. Pradziadek

zawsze podkreślał jak ważna jest wiara i nadzieja, że wiara czyni cuda a nadzieja umiera ostatnia...



Informacje o historii klasztoru zaczerpnięte:

- „Z kronik zakonnych z Kościoła i Klasztoru Bernardynów w Zasławiu na Wołyniu” (zebrał i wydał Ksiądz Marian Tokarzewski, Warszawa 1913).
- „Krzemieniec i okolice” Jadwiga Gosławska,
- Strony internetowe: Polona.pl, Wikipedia.pl , Google maps

Julia Drewniak

Publiczna Szkoła Podstawowa w Bezzreczu



W obecnych czasach leżą sobie spokojnie na mięciutkim, czerwonym aksamicie w pluszowym pudelku. Jest mi bardzo miło i ciepło. Jestem pięknie wypolerowany, mam błyszczącą powłokę jak słońce, które odbija się w wodzie i rozsrebrza wszystko wokół. Niestety nie zawsze tak było. Musiałem przebyć długą i wyboistą drogę, żeby zaznać takiego dostatniego życia. Można powiedzieć, że jestem materialnym nośnikiem pamięci i wspomnień wielu osób z rodziny Julii Drewniak. Rozpiera mnie duma, ponieważ jestem bardzo ważny dla członków mojej rodziny, ze względu na emocjonalne powiązania z przodkami rodziny.

Jak już pewnie wszyscy się domyśliliście, jestem pamiątką rodzinną – medalionem na złotym łańcuszku z owalną zawieszką, do którego można schować zdjęcie ukochanej osoby. Historia rozpoczęła się od praprababki Stefanii urodzonej w 1892 roku, która dostała naszyjnik od swojej mamy. Nosila mnie przez wiele lat, później zostałem przekazany jej córce Irenie urodzonej w Stanach Zjednoczonych w 1921 r. Następnie trafiłem do jej córki Rozalii urodzonej w Gorzowie Wielkopolskim w 1953 r. Dalej zostałem przekazany jej córce Justynie urodzonej w Szczecinie w 1978 r., a następnie trafię do najmłodszej kobiety z rodu – Julii – urodzonej w Szczecinie w 2008 roku.

W XVIII wieku Polska utraciła niepodległość, jej ziemie zostały podzielone między trzy mocarstwa: Rosję, Prusy i Austrię. Polska zniknęła wówczas z mapy Europy na 123 lata. To był trudny okres historyczny, który charakteryzował się ubóstwem, bezrobociem oraz brakiem swobód politycznych. Polacy byli pozbawieni wolności słowa i prasy, mieli ograniczone możliwości rozwoju gospodarczego i kulturalnego kraju. Dlatego leżałem sobie na piersi Stefanii i podskakiwałem z pośpiechu, ale również z niepokoju o nią, ponieważ postanowiła wyemigrować do Stanów Zjednoczonych w poszukiwaniu lepszych warunków do życia, pracy i wolności. Cechowały ją odwaga, siła i determinacja do szybkiego znalezienia pracy, a że była również bardzo inteligentną, miłą i pracowitą młodą kobietą, szybko znalazła pracę w amerykańskiej rodzinie jako gosposia. Musiała zmierzyć się z barierami kulturowymi i językowymi, co trochę na początku utrudniało sytuację, jednak okazało się, że Stefania miała smykałkę do języków obcych. Dodatkowo nie była osamotniona, ponieważ wielu Polaków wyjechało w tym czasie do Stanów Zjednoczonych. Stefania była bardzo otwartą i zaradną osobą. Szybko zaczęła organizować spotkania Polaków, zakładała wspólnoty polskie, gdzie rodacy wzajemnie sobie pomagali i utrzymywali kontakt, na ile to było możliwe, z krajem rodzinnym. Na jednym ze spotkań poznała przystojnego, dobrze zbudowanego,

z ogromnym poczuciem humoru Jana Kolendę urodzonego w 1886 r., który był polskim drwalem. Zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia. Dalej było im łatwiej, ponieważ mieli siebie nawzajem. Obydwoje byli dobrymi ludźmi i pracownikami, ceniącymi sobie pracę, dlatego dzięki swojemu poświęceniu i ciężkiej pracy osiągnęli sukces. Można powiedzieć, że spełnił się ich amerykański sen. Założyli wtedy rodzinę, Stefcia zajmowała się domem i dziećmi, a Jan dalej pracował jako drwal. Urodziły im się dzieci Jan junior, Sabina, Izabela, Celina. Pamiętam te szczęśliwe chwile, roześmiane buźki, ich cieniutkie głosiki i rozkoszne chichoty niczym młode pisklaki. Jednak czasami nie było łatwo, gdy ciągnęły mnie za łańcuszek i próbowały ściągnąć z szyi Stefanii swoimi obklejonymi i mokrymi od śliny rączkami.

Tak Stefanii i Janowi, odkąd przyjechali do obcego kraju jako młodzi ludzie, minęło 15 lat w Stanach Zjednoczonych. Pomimo dostatniego życia bardzo tęsknili za swoim krajem i bliskimi. Tym bardziej, iż po zakończeniu I wojny światowej i odzyskaniu przez Polskę niepodległości do ojczyzny zaczęli przybywać Polacy. Polska zaczęła szybko się rozwijać gospodarczo i kulturowo, a Stefania i Jan byli wielkimi patriotami i bardzo chcieli wrócić do swojej rodziny i przyjaciół. Stefania była w ciąży z piątym dzieckiem – córką Ireną, która musiała urodzić się w Stanach Zjednoczonych, ponieważ w tamtych czasach kobiety ciężarne nie mogły podróżować statkiem. Gdy mała Irenka miała rok, ścisłała mnie w swojej malutkiej rączce, zrzucała przy każdej możliwej okazji na dechy pokładu statku. Miałem trochę wytchnienia, gdy zasypiała w kołysce. Podwójne bujanie kołyski i statku działało na nią usypiająco, więc cała rodzina dość sprawnie przeżyła dwutygodniową podróż do Polski.

Irenka wraz z rodzicami osiedliła się w Wielkopolsce, gdzie upływało jej beztrudne dzieciństwo, aż do wybuchu II wojny światowej. Irenka miała wtedy 18 lat, tak zaczęła swoją pełnoletniość. Była wówczas zakochana w przystojnym młodzieńcu Piotrze Choroszewskim, który został wcielony do wojska i musiał wyjechać na wojnę. Pamiętam bardzo dobrze, jakie targały nią uczucia: niepokoju, tęsknoty i wielkiej miłości, gdy czulem jej ciepłą dłoń, którą zaciskała na medalionie ze zdjęciem swojego ukochanego. Kiedy wojska niemieckie wkroczyły do Polski, Irenka została przydzielona do pracy u niemieckiej rodziny w swojej wsi. Szansa na normalne życie w ojczyźnie stawała się coraz mniejsza. Irenka czuła, że musi walczyć i pomagać swojemu krajowi. Pomagała w organizowaniu działań i poszukiwaniach jedzenia dla okolicznych polskich rodzin. Zawsze z uśmiechem na twarzy wspomagała potrzebujących, nie licząc się z trudnościami i zagrożeniami. Pamiętam również, jak przez ten

cały czas pisała długimi wieczorami jeszcze dłuższe listy do swojego ukochanego. Los był im życzliwy i po długiej rozłące spotkali się ponownie po zakończeniu wojny. Rozpoczęli wspólne życie w Gorzowie Wielkopolskim. Jak każda z rodzin, próbowali odnaleźć się w powojennym i trudnym czasie, Piotr pracował w fabryce traktorów „Ursus”, a Irenka w szkolnej bibliotece. Mieli czworo dzieci, a ja trafiłem ponownie w kolejne małe rączki do słodkiej Rozalki, która była najmłodszą z rodzeństwa.



Rozalia wraz z rodzicami i rodzeństwem po śmierci Stefcia i Jana przeprowadziła się do Radzyna, do rodzinnego domu. Jak każdą kobietę z rodu, cechowała ją życzliwość, opiekuńczość, wrażliwość na potrzeby i cierpienie innych, dlatego wyjechała do Gorzowa Wielkopolskiego i została pielęgniarką. Często odwiedzała rodzinne strony. Podczas z jednej podróży poznała przystojnego studenta z Poznania Kazimierza Jakobsze. Po hucznym weselu przeprowadzili się do Szczecina. Rozalia pracowała jako pielęgniarka w szpitalu, a Kazimierz jako informatyk w Stoczni Szczecińskiej. Urodziło im się dwoje dzieci Justyna i Mateusz. Ich rodzinne życie przypadło na trudne czasy PRL-u. Ludzie wstawali wcześniej rano, żeby pójść do pracy i szkoły. Ceny były kontrolowane, co oznaczało, że wiele produktów było droższych lub trudniejszych do zdobycia. Każdy otrzymywał kartki na żywność, które określały ściśle ilość produktów, które można było zakupić. Przez to ludzie musieli poświęcić dużo czasu na stanie w kolejkach, co było frustrujące i niekomfortowe. Istniała również kontrola polityczna i kulturowa, co oznaczało, że ludzie sprzeciwiający się władzy mogli spotkać się z przeszkodami i represjami.

Ludzie w PRL-u potrafili sobie radzić i byli bardzo kreatywni i pomysłowi. Rozalia i Kazimierz, aby zapewnić lepszy byt swoim dzieciom, imali się każdej dodatkowej pracy. Sprzątali statki w stoczni i wyjeżdżali na sezonowe prace do Szwecji i Niemiec. Po upadku komunizmu w Polsce nastąpił rozwój kraju. Gdy przyszły lepsze czasy, Rozalia rozmyślała coraz częściej o swojej babci Stefani.



Miałem ogromną potrzebę opowiedzenia Rozalii o jej babci. Rozalia badała jej losy i marzyła, aby odwiedzić miejsce urodzin swojej mamy oraz miejsc pobytu babci Stefci i dziadka Jana. Jaki byłem szczęśliwy, gdy po 70 latach wybrałem się w ponowną podróż do Stanów Zjednoczonych. Tulilem się do Rozalii podczas lotu samolotem i jednocześnie podziwiałem piękne, błękitne niebo i białe chmurki jak małe poduszcзки. Gdybym miał usta, zaniemówiłbym z wrażenia, to była zupełnie inna rzeczywistość niż poprzednio. Nie mogłem oderwać oczu od drapaczy chmur, długich i szerokich dróg, które nazywano autostradami. Zaskoczyła mnie rozwinięta era komputeryzacji, technologii i rozwoju tego kraju. Byłem tak podekscytowany, że rozplýwałem się z wrażenia, gdy Rozalia odkrywała krok po kroku losy swojej mamy i babci. Po długiej, wspaniałej, historycznej podróży wróciliśmy do Szczecina.

Córka Rozalii zawsze z zachwytem słuchała opowieści o silnych i zdolnych kobietach w swojej rodzinie. Historia lubi się powtarzać i znowu znalazłem się w Stanach Zjednoczonych, ponieważ Justyna, będąc na studiach, postanowiła zrobić sobie przerwę i poznać ten kraj. Znowu leciałem samolotem,

już tak się nie bałem, niestety podróżowałem już w aksamitnym pudełeczku, a nie na szyi Justyny, ponieważ mam już swoje lata.

Czasy były już inne, Justyna chodziła do szkoły na lekcje angielskiego, poznawała interesujących ludzi, pracowała i podróżowała po Stanach Zjednoczonych. Wróciła do Polski, skończyła studia i zakochała się w Patryku Drewniak, z którym ma dwoje dzieci Oskara i Julię.

Moja historia zaczęła się od Stefanii i przyczyniła się do powstawania wielu legend w mojej rodzinie, ukazując losy silnych i odważnych, a jednocześnie bardzo empatycznych kobiet. Przekazywano mnie z pokolenia na pokolenie. Uważam, że miałem i mam wpływ na szczęście i dobre nastroje każdej z kobiet w rodzinie. Moje losy i przygody potoczą się dalej, ponieważ zostaną przekazane w osiemnaste urodziny Julii, córce Justyny. Zapowiada się ekscytujące życie, ponieważ zmienił się świat, którego jestem bardzo ciekawy. Julia jest sympatyczną i zdolną dziewczynką, która odziedziczyła wiele cech po swoich prababkach. Zamiłowanie do języka angielskiego po praprababci Stefci, chęć niesienia pomocy po prababci Irencie, zamiłowanie do podróży po babci Rozalii i wrażliwość na krzywdę innych po mamie.

W 2021 roku minęło mi więcej niż sto lat, a ja dalej mam siłę, żeby poznawać kolejne losy kobiet z mojego rodu.

Piotr Sobczak

Szkoła Podstawowa nr 3 im. Lotników Polskich w Świdwinie

Pamiętka rodzinna



Pamiętka, której historią chciałbym się podzielić, należy do rodziny mojej mamy. Choć nie posiada ona wartości materialnej, dla nas jest bardzo cennym przedmiotem. Nie tylko przynosi szczęście, ale także przypomina o historii moich przodków, a w szczególności jednego z nich.



W pudełku na biżuterię mojej mamy znajduje się łańcuszek, na którym są dwie zawieszki. Jedna jest w kształcie serca, natomiast druga w kształcie owalu. Ta ostatnia nie jest zwyczajna, ponieważ to sekretnik. Dawniej znajdowało się tam zdjęcie, a teraz złoty motyl. W środku tej małej, niepozornej zawieszki tkwi piękna i zarazem smutna historia przekazywana z pokolenia na pokolenie, o której teraz opowiem.

Rok po zakończeniu pierwszej wojny światowej przyszło na świat dwoje dzieci. Jednym z nich była moja praprababcia Feliksa, a drugim jej brat bliźniak – Feliks. Od małego rodzeństwo było ze sobą bardzo blisko żyte. Jedno zawsze stawało za drugim i wszystko robili razem. Nawet kiedy już dorośli i moja praprababcia poznała mojego prapradziadka Franciszka, nadal byli blisko, rozmawiali i powierzali sobie swoje sekrety. Kiedy Feliksa i Franciszek się zaręczyli, Feliks cieszył się szczęściem swojej siostry i życzył im jak najlepiej. Latem 1939 roku moja praprababcia wyszła za mąż za Franciszka. Wśród gości weselnych nie mogło oczywiście zabraknąć jej brata bliźniaka. W tym uroczystym

dniu Feliks wręczył swojej siostrze na szczęście wisiołek z sekretnikiem. W jego środku znajdowało się zdjęcie bliźniaków oraz życzenia na nową drogę życia. Prezent miał zawsze przypominać prababci o swoim bracie, a napisane przez niego słowa na odwrocie zdjęcia zapewniały o tym, że zawsze będzie im życzył szczęścia i miłości. Niestety, wkrótce po ich ślubie wybuchła II wojna światowa. Feliksa niedługo cieszyła się szczęściem małżeńskim, gdyż musiała rozłączyć się ze swoim mężem. Franciszek, jak inni żołnierze, miał walczyć o wolność ojczyzny. Jednak praprababcia musiała pożegnać się również z ukochanym bratem, który wraz z jej mężem wyruszył na front. Długo płakała i czekała na wieści od nich. Mijały lata i Feliksa traciła nadzieję, że zobaczy kiedyś swoich dwóch ukochanych mężczyzn. Czekala na wiadomości i te dobre, i... złe. Jednak bezskutecznie. Słuch po Feliksie i Franciszku zaginął. Lśniący na piersi sekretnik przypominał mojej praprababci o miłości, jaką darzył ją brat oraz o najszczęśliwszym dniu w jej życiu – ślubie z Franciszkim. Czasami miała ochotę go zerwać i rzucić daleko, bo przecież miał przynieść jej szczęście i chronić miłość. Jednak była to jedyna pamiątka po ukochanym bracie i to ją powstrzymało.

Minęło ponad 6 lat i Feliksa straciła już całkowitą nadzieję, że kiedyś ujrzy jeszcze męża i brata żywych. Jednak miesiąc po zakończeniu wojny w drzwiach domu ujrzała mężczyznę. Chociaż był bardzo wychudzony i prawie лыs, w rysach jego twarzy od razu rozpoznała Franciszka. Nie mogła uwierzyć, że to prawda – tak długo czekała na swojego ukochanego. Mąż praprababci dużo przeszedł w czasie wojny i zanim doszedł do siebie, minęło sporo czasu. Jednak ich wielka miłość sprawiła, że w końcu pozbierał się po traumatycznych przeżyciach. W końcu także Franciszek był gotowy na to, aby wyjawić praprababci prawdę o jej ukochanym bracie. Otóż kiedy trafili na front, pewnej nocy zostali pojmani. Niemieccy żołnierze dzielili ich na dwa rzędy. W pewnym momencie Feliks kazał Franciszkowi zamienić się z nim miejscem, a on to zrobił, niewiele rozumiejąc. Przed rozdzieleniem powiedział Franciszkowi, że ma być zawsze przy jego siostrze, kochać ją i szanować oraz powiedzieć Feliksie, że on kochał ją nad swoje życie, a jej szczęście jest dla niego najważniejsze. Prapradziadek przytaknął, nawet nie domyślając się, co stanie się potem. Feliks wraz z ośmioma innymi Polakami stanął pod ścianą, rozległy się strzały. Nikt nie przeżył. Franciszek zalał się łzami, wszystko rozumiał, jego szwagier poświęcił swoje życie za niego i szczęście swojej siostry. W przeciwieństwie do prapradziadka, brat praprababci doskonale rozumiał język niemiecki, wychowywali się przecież w rodzinie pochodzenia niemieckiego.

W dzieciństwie rodzeństwo nauczyło się mówić i czytać w tym języku.

Kiedy opowieść Franciszka dobiegła końca, Feliksa przypomniała sobie słowa napisane na zdjęciu z sekretnika. Dotarło do niej, że jej ukochany brat bliźniak poświęcił swoje życie dla jej miłości. Jego heroiczny czyn sprawił, że jej mąż siedzi teraz przy niej, ale z drugiej strony jej serce rozpadło się na tysiąc kawałków. Nigdy jednak nie zapomniała o bracie, a wisiołek z sekretnikiem nosiła zawsze przy sobie. Życie toczyło się dalej i prapradziadkowie doczekali się córki Marysi. Kiedy dorosła i wyszła za mąż to praprababcia na szczęście podarowała jej wisiołek z sekretnikiem – ten sam, który wcześniej dostała od brata. Najpierw wyjęła i zachowała sobie zdjęcie z życzeniami, które były pamiątką po ukochanym bliźniaku Feliksie. Dołączyła również zawieszkę od siebie w kształcie serca i wierzyła, że wisiołek będzie chronił miłość jej córki, tak jak kiedyś jej. Opowiedziała również córce historię tego wisiora i poprosiła, żeby kiedy i ona będzie miała dzieci – przekazała historię jej brata oraz sekretnik dalej, aby pamięć o Feliksie trwała. Tak też się stało, bo teraz wisiołek znajduje się u mojej mamy. Co prawda nie przekazała go jej własna mama, tylko ciocia chrzestna, ponieważ ona z całego rodzeństwa pierwsza wzięła ślub, a nie miała swoich dzieci. Do sekretnika włożyła prezent od siebie, czyli złotą zawieszkę w kształcie motyla i oczywiście przekazała historię Feliksa, Feliksy i Franciszka. Mama mówi, że kiedyś przekaze go mnie albo mojemu bratu, żeby wisiołek był nadal w naszej rodzinie, a pamięć o Feliksie nie znikła. Doda również coś od siebie, aby kiedyś ktoś pamiętał o niej, tak jak my pamiętamy o przodkach.

Taka jest historia naszej rodzinnej pamiątki, na pierwszy rzut oka zwykłego wisiora... Jednak zwykle przedmioty nabierają znaczenia wtedy, kiedy przypominają nam o kimś bliskim. Dla naszej rodziny jest to symbol miłości i heroizmu. Dzięki niemu pamięć o Feliksie i jego poświęceniu jest wciąż żywa. Ów człowiek jest dla nas niezwykle bohaterem, bo gdyby nie jego akt heroizmu, to nie byłoby teraz nas. Wisiołek, dzięki dokładaniu zawieszek, przypomina również o moich innych przodkach, będzie przypominać o rodzicach, a kiedyś my prześlemy historię naszym dzieciom. Uważam zatem, że pamiątki rodzinne to nie tylko przedmioty, które mamy po naszych przodkach, ukryta jest w nich także wspaniała lekcja historii.

Filip Wiśniewski

Liceum Ogólnokształcące w Zespole Szkół im. Pamięci Ofiar Terroryzmu
11 Września 2001 Roku w Kaliszu Pomorskim

Pierścień rodowy historia rodziny Laskowskich



Wstęp

Nazywam się Filip Wiśniewski i jestem uczniem 1 klasy o profilu medyczno-politechnicznym w Zespole Szkół w Kaliszu Pomorskim. Mieszkam w Cybowie koło Kalisza Pomorskiego. Moja mama pochodzi z Bydgoszczy, natomiast tata z Kalisza Pomorskiego. W niniejszym opracowaniu chciałbym przedstawić ciekawą historię dotyczącą pamiątki po moich przodkach ze strony mamy.

Babcia mojej mamy a moja prababcia – Irena Gnatowska – Gromek (z domu Laskowska) – była znaną bydgoską malarką. W 2002 r., w roku ślubu moich rodziców przekazała moim rodzicom opracowanie pt. „Dzieje Rodziny Laskowskich z Podola, od dwóch stuleci zakorzenionych w Wielkopolsce”. Opracowanie napisane w 2002 r. przez członka dalszej rodziny z Gdańska Tomasza Laskowskiego. Kopia przekazana przez prababcie Irenę znajduje się do dzisiaj w domu moich rodziców.

W następnym roku, tuż przed swoją śmiercią, prababcia przekazała wujkowi Bartkowi Gnatowskiemu (bratu mojej mamy) pierścień rodowy rodziny Laskowskich. Sygnet ten jest bardzo starą pamiątką, przekazywaną od stuleci z pokolenia na pokolenie członkom tego rodu. Pamiątka ta jest materialnym przedmiotem, który był w posiadaniu osób z rodziny Laskowskich, których historię przedstawia opracowanie przekazane przez prababcie Irenę. I ja również pragnę przedstawić niezwykle ciekawą historię rodziny Laskowskich związaną z tym pięknym sygnetem.

Tragiczna historia Wincentego Laskowskiego

Najstarszym ze znanych przodków rodziny Laskowskich był Józef Wincenty Laskowski (ur. 1748), który mieszkał w okolicach Gródka na Podolu. W końcu XVIII w. Józef Wincenty przenosi się do zachodniej Wielkopolski. Powody tej odległej przeprowadzki (ponad 1000 km) nie są do końca znane. Wraz z żoną Barbarą zamieszkali w Ćmachowie koło Wróblewa (obecnie gmina Wronki). Mieli córkę Mariannę i już w Wielkopolsce przychodzi na świat ich dwaj synowie – Franciszek Rafał i Franciszek Antoni. Ich ojciec Józef Wincenty pracuje jako ekonom w majątkach Bnińskich, a następnie zostaje leśniczym (w innych miejscach jest wzmiankowany jako nadleśniczy) w Jaromierzu koło Kargowej.

Tam doznaje ogromnej zniewagi oraz krzywdy od swojego pracodawcy

starosty Bnińskiego. Jego pracodawca zarzucił mu defraudację drewna, co w 1792 r. doprowadziło do tragicznych i dramatycznych konsekwencji. Z polecenia Bnińskiego Józef Wincenty został poddany brutalnemu przesłuchaniu oraz pobiciu, w wyniku czego 12 maja 1792 r. zmarł. I to jest dopiero początek rodzinnej tragedii, gdyż 10 dni później z rozpaczy umiera jego żona Barbara i nowo narodzone dziecko. Pozostałe sieroty – Marianna i Franciszek Rafał zostały zabrane przez Bnińskiego do jego majątku w Gutowach.

Listy

Historia ta jest niezwykle ciekawa. W „Dziejach rodziny” przekazanych przez babcię mojej mamy, Irenę, znajduje się treść listu do króla pruskiego (z dnia 6 kwietnia 1830 r.) napisana przez osieroconego wcześniej Franciszka Rafała, a także treść listu skierowana do Kolegium Kościoła Katolickiego w Kuźminie pod Satanowem i Felsztynem. Z tych dokumentów mogłem się dowiedzieć dużo więcej szczegółów na temat rodzinnej tragedii Józefa Wincentego Laskowskiego.

List skierowany do króla pruskiego jest prośbą o dodatek do pensji urzędniczej Franciszka Rafała Laskowskiego, który był kancelistą w Sądzie Pokoju w Wielkim Księstwie Poznańskim. W liście Franciszek Rafał skarży się na wcześniejsze postępowanie starosty Ignacego Bnińskiego i podaje więcej szczegółów tej smutnej historii. Jego ojciec Józef Wincenty miał zażądać pensji po dwóch latach pracy w nadleśnictwie. W odpowiedzi Bniński zlecił kontrolę w nadleśnictwie i postawił mu zarzuty. I gdy nie mógł niczego dowieść, kazał go skatować na skutek czego zmarł on a po 10 dniach jego żona i jego nowo narodzone dziecko. Z listu do króla dowiadujemy się również, że starosta Bniński zabrał dyplom, akt szlachectwa, dokumenty znacznego spadku i wziął to wszystko w posiadanie. Była to nieprawdopodobna tragedia.

Z kolei list do Kolegium Kościoła Katolickiego jest prośbą o pomoc w udowodnieniu stanu szlacheckiego. Z listu dowiedziałem się także, że dziadek Franciszka Rafała, a ojciec Józefa Wincentego, Kasper Laskowski, mieszkający w Koźminie pod Satanowem i Felsztynem na Podolu, był starostą.

W liście tym znajduje się również szczegółowy opis brutalnego przesłuchania przed starostą Bnińskim w Wielkopolsce. W trakcie tego przesłuchania Józef Wincenty używał argumentu, że nie może być tak traktowany, bo jest szlachcicem. Starosta Bniński miał mu odpowiedzieć, że to nie jest problem,

bo szlachcic szlachcica też ukarać może.

W dziejach rodziny Laskowskich znajdują się kompletne treści listów wraz z załącznikami kierowanych do władz pruskich, carskich oraz kościelnych. Jest to prawdziwa kopalnia wiedzy na temat rodziny Laskowskich.

Problem udowodnienia szlachectwa przewija się u przedstawicieli rodu Laskowskich także w następnych pokoleniach. W 1895 r. Królewski Sąd Ławniczy w Poznaniu wydaje wyrok kupcowi Hieronimowi Laskowskiemu z Poznania z powodu bezprawnego używania tytułu szlacheckiego. Ten sam Hieronim w 1917 r. kieruje list do generalnego gubernatora w Warszawie (carski namiestnik) z prośbą o pomoc w udowodnieniu szlachectwa poprzez wydanie świadectwa, że jego pradziad Kasper Laskowski z Podola należał do stanu szlacheckiego.

Prześladowany nauczyciel

Moja prababcia Irena Gnatowska – Gromek (z domu Laskowska) była potomkiem w linii prostej w piątym pokoleniu Józefa Wincentego Laskowskiego. W „Dziejach rodziny Laskowskich” są wzmiankowani rodzice, dziadkowie, pradziadkowie i prapradziadkowie mojej prababci Ireny, ale najwięcej miejsca poświęcone jest nadleśniczemu Józefowi Wincentemu Laskowskiemu. Jest to historia bardzo interesująca i jednocześnie tragiczna. Przeczytałem ją z dużym zainteresowaniem, tym większym, że mój tata również pracuje w nadleśnictwie.

W historii rodziny Laskowskich pojawiają się też inne bardzo interesujące postacie. Jedną z nich jest syn Franciszka Rafała Laskowskiego z drugiego małżeństwa – Józef Aleksander Laskowski. Skończył seminarium nauczycielskie w Paradyżu w 1862 r. Pracował jako nauczyciel w Koźlu a następnie w Psarskiem koło Szamotuł. W 1874 r. został karnie zwolniony ze szkoły z polecenia szkolnych władz pruskich za nauczanie dzieci w języku polskim.

Z pomocą patriotycznemu nauczycielowi i jego rodzinie (7 dzieci) przyszedł ksiądz Adam Czartoryski angażując go na prywatnego wychowawcę swoich synów w Rokossowie.

Postać Józefa Aleksandra Laskowskiego również jest mi bliska, bo moja mama pracuje w szkole jako nauczycielka.

Ksiądz Jan Laskowski i strajk dzieci we Wrześni

Jeden z synów Józefa Aleksandra, Jan Laskowski, ciężko zachorował

w dzieciństwie i został ofiarowany przez rodziców Bogu. W wieku 10 lat został wysłany do Collegium Marianum w Pelplinie, a następnie przeniesiony w 1892 r. do Królewskiego Gimnazjum w Krotoszynie, gdzie uzyskał maturę. Następnie wstąpił do Seminarium Duchownego w Poznaniu. Ostatni rok studiował w Gnieźnie i tam otrzymał święcenia kapłańskie.



Pracował jako wikary w Wieleniu, a następnie we Wrześni. Był duchową podporą znanego strajku szkolnego dzieci we Wrześni w 1901 roku. Z tego powodu stał się niewygodny dla władz pruskich. Zmuszono go do przeniesienia na probostwo wiejskie i trafił do Konarzewa. Tam prowadził ożywioną działalność społeczną.

Kiedy zacząłem szukać o nim informacji w Internecie to okazało się, że jest ich bardzo dużo. Po wybuchu Powstania Wielkopolskiego ksiądz Jan Laskowski wszedł w skład lokalnego komitetu powstańczego w Konarzewie. 10 listopada 1928 r. został mu nadany Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski.

Na początku II wojny światowej 17 października 1939 r. hitlerowcy zjawili się na plebanii i poddali przesłuchaniu. Po przesłuchaniu ksiądz Jan Laskowski zmarł na atak serca.

Pierścień

Pierścień rodowy rodziny Laskowskich jest w naszej rodzinie „od zawsze”, był przekazywany z pokolenia na pokolenie. Jest to złoty pierścień/sygnet, na którym znajduje się grawer herbu Dąbrowa. W trakcie pisania tego opracowania odnowiliśmy wspólnie z mamą kontakty rodzinne. Okazało się, że pierścień został przekazany przez mojego wujka Bartka do wujostwa mojej mamy, do Toronto w Kanadzie.

Z herbem związane są znaczenia. Gotycki kształt tarczy oznacza starożytność rodu. Błękit pola tarczy to barwa nieba, która symbolizuje pobożność. Podkowa to symbol stałości i szczęścia. Złoto (metal krzyży) przedstawia



światło i symbolizuje wiarę. Trzy (liczba krzyży) symbol doskonałości (wiara, nadzieja, miłość). Strzala przeszywająca skrzydło sępa to wspomnienie pierwszej wyprawy krzyżowej, symbolizuje zwycięstwo. Srebro podkowy to skromność i prostota ducha. Skrzydło sępie w klejnocie nad hełmem upamiętnia łucznika, który zestrzelił sępa nad armią. Zestrzelenie sępa traktowano jako dobry znak.

Nie wiadomo dokładnie z jakiego okresu pochodzi pierścień. Można przypuszczać, że pochodzi z początku XVIII w. i należał do Kaspra Laskowskiego mieszkającego w Koźminie pod Satanowem i Felsztynem na Podolu, który według wiedzy jego potomków miał być starostą i szlachcicem.

Dzięki uprzejmości Mai i Jakuba Bryzgalskich z Toronto otrzymaliśmy zdjęcie pierścienia. Jakub Bryzgalski jest artystą plastykiem i jakiś czas temu podjął się trudu odtworzenia Herbu Szlacheckiego Dąbrowa rodziny Laskowskich, który załączam jako ilustrację.

Podsumowanie

Przystąpienie do konkursu „Znajdź swoją pamiątkę rodzinną i opisz jej historię” umożliwiło mi poznanie bardzo bogatej i miejscami tragicznej historii mojej rodziny ze strony mamy. Nie spodziewałem się, że odkryję aż tak dużo niezwykłych faktów historycznych. Ale jeszcze ciekawsze jest to, że dzięki tej pracy również moi rodzice mogli przypomnieć sobie niektóre fakty, a o innych w ogóle nie wiedzieli.

Historia mojej rodziny ze strony mamy – Laskowskich, pokazuje, że jej członkowie kierowali się w życiu ważnymi zasadami. Byli odważni, dążyli do prawdy oraz wykazywali się piękną postawą patriotyczną w bardzo trudnych czasach zaborów. Dlatego niewątpliwie najważniejszą i najcenniejszą pamiątką rodzinną, która łączy kolejne pokolenia potomków Kaspra i Józefa Wincentego Laskowskich jest opisany przeze mnie pierścień rodowy.

Antonina Koziół

Zespół Szkół Publicznych w Golczewie



„Nawet smutne wspomnienia są częścią tego, kim jesteśmy.”

Colleen Houck

Poranek był zimny, skrzypiał śnieg, było cicho...

Był pochmurny, dżdżysty dzień. Krople deszczu mocno uderzały o parapet okna w kuchni domu moich dziadków. Wspólnie z dziadkiem usiedliśmy przy stole i wsłuchiwalismy się w stukot kropli. Chyba pogoda w tym dniu sprzyjała nostalgii i zadumie. Bardzo lubię czas spędzony z dziadkiem, anegdoty, historyjki o tym, jaki był w młodości.

Z kart wspomnień mojego dziadka Janka najbardziej zapadła mu w pamięci historia Jego matki, a mojej prababci Emilii Kowalskiej z domu Jakubowska i jej rodziny zesłanej na Sybir. Czas, który spędziła z matką i rodzeństwem na Syberii, był najgorszym okresem w ich życiu. Praprababcia Emilia była najstarszą z czwórki rodzeństwa. Jej ojciec Jakub Jakubowski był naczelnikiem więzienia, natomiast mama Maria Jakubowska zajmowała się wychowywaniem dzieci. Gospodarstwem i obowiązkami domowymi zajmowała się służba. Małżeństwo wychowywało czworo dzieci: Emilię, Aleksandra, Helenę i Zofię. Rodzina mieszkała w malowniczych okolicach, w pięknym, jednorodzinym domku w Słonimie, na ulicy Albertyńskiej 44. We wrześniu 1939 roku miasto zajęła Armia Czerwona. W 1940 roku dużą część ludności polskiej deportowano w głąb ZSRR. Od 1991 roku Słonim leży na terytorium Białorusi. W chwili przyjscia Rosjan do domu najbardziej przytomną osobą była babcia Emilka. To ona ubrała siostry i brata w ciepłe zimowe ubrania. Z ojcem wynosili pościel, trochę ubrań, chleb, parę garnków oraz drogocenne przedmioty i piękną biżuterię. Trzymając w garści złoty pierścionek praprababcia Maria żegnała swoją służbę. Konie ruszyły. Ostatnie spojrzenie na dom, zagrodę, trud pracy i szczęście moich prapradziadków i radosne dzieciństwo mojej prababci Emilki.

Wieczorem dotarli na stację, gdzie stał długi transport bydłowych wagonów. Tam rodzina została rozdzielona, prapradziadka Jakuba zabrało wojsko do Ostaszkowa, a prababcia Emilka razem ze swoją mamusią i rodzeństwem trafili do transportu. Nie wiedzieli dokąd zmierzają. Podróż trwała trzy miesiące. W wagonach bydłowych było ciasno, ciemno i zimno. Dzieci bardzo bały się ciemności. Nie mieli co jeść, brakowało wody do picia. Z niewielkich okien widać było jedynie zaśnieżony teren. Jechali w nieznaną. Po trzymiesięcznej ciężkiej podróży zostali wyrzuceni z wagonów na śnieg i mróz na dalekiej Syberii. Byli przerażeni, głodni, bezsilni, nie wiedzieli co począć.

Z pomocą przyszli im ludzie, których zesłano na Syberię wcześniej. Pomogli im zbudować „dom”. Była to mała, niska ziemianka. Nie miała okien, ani drzwi, jedynie otwór, przez który się wchodziło. Podłoga, ściany były z ziemi. Z wierzchu pokryta była chrustem i gałęziami, które sami nazbierali w lesie. W ziemiance nie było niczego. Praprababcia Maria swoje dzieci układała do spania na słomie, okrywając ich jednym, starym, dziurawym kocem. Nie było pieca, a na dworze był srogi mróz. Żyli w skrajnych warunkach. Dla rodziny przyzwyczajonej do życia w dostatku, z pięknym domem ze służbą, zetknięcie się ze skrajnym ubóstwem było wielkim trudem. Praprababcia Maria, będąc na zesłaniu zmuszona była wszystkiego się nauczyć. Nauczyła się paść i doić krowy, mieć ziarno za pomocą dwóch kamieni oraz gotować. Brakowało jedzenia. Często jedynym pożywieniem były buraki i marchewka, pokrzywy, lebioda i zupa z wróbli, upolowanych na wnyki z końskich włosów. Był taki czas, że sama nie jadła. Aby zdobyć jedzenie dla dzieci, ziarno czy ziemniaki, oddawała swoją biżuterię, która miała być posagiem dla córek. Za kocię z niebieskimi oczkami dostała wiaderko ziemniaków. Prababcia Emilia z bratem Aleksandrem byli zmuszani do pracy w kolchozie. Zbierali i wiązali snopki, pracowali przy wykopkach oraz innych pracach polowych. Prababcia Emilia i wujek Aleksander mieli często poranione ręce, pocięte aż do krwi. Za tą trudną pracę nie dostawali wypłaty, jedynie trzy kromki chleba, którymi dzielili się z młodszym rodzeństwem oraz matką. Wujek Aleksander często ryzykował własnym życiem próbując zdobyć jedzenie dla reszty rodziny. Kradł ziarna zboża, wsypywał je do nogawek spodni i ukradkiem przynosił do ziemianki. Wiele razy, by zdobyć jedzenie, oddawali też ubrania, które w pośpiechu ze sobą zabrali. W pociemnionym blasku w oczach babci jej brat widział odrobinę nadziei do życia, do powrotu do domu tak bardzo upragnionego. Miłość i tęsknota przeplatała się z przeraźliwym lękiem o swojego męża Jakuba. Było im bardzo ciężko, tym bardziej, że nie mieli wiadomości od prapradziadka Jakuba. Nie wiedzieli, gdzie jest i czy żyje. Uważali, że nic gorszego nie może ich już spotkać, bo co może być gorszego od utraty domu, uczucia głodu i ciężkiej pracy, a jednak... Śmierć osoby najbliższej, z którą dzieliło się szesnaście wspólnych lat, wspólne cele, plany, a przede wszystkim wiarę w nieskończoną miłość. O losie prapradziadka Jakuba dowiedzieli się dopiero po powrocie z Syberii. Wieczorami, w czasie wolnym po pracy, spotykali się z innymi zesłanymi. Rozmawiali, wspominali czasy, w których byli wolni i szczęśliwi ze swoimi rodzinami. Prababcia Emilia rozmawiała często z rosyjskim fizykiem, również zesłanym.

W jednej z pierwszych rozmów zapytał ją, ile ma lat. Prababcia odpowiedziała, że piętnaście. On powiedział, że właśnie tyle lat na Syberii już żyje. Zrozumieli wtedy, że mogą zostać tutaj na zawsze. Kiedy doskwierała im samotność i tęsknota za bliskimi, praprababcia Maria otwierała szkatułkę z ukrytym złotym, mieniącym się pierścionkiem. Była to już jedyna rzecz, która przypominała im rodzinny dom w Słonimie.



Wujek Aleksander przerażony tym, że będą żyć w niewoli cały czas postanowił uciec. Szedł piechotą przez Persję. Wkrótce dołączył do wojsk generała Maczka w Belgii. Tam dowiedział się, że prapradziadek Jakub przebywa w szpitalu w Szkocji. Został ranny pod Monte Cassino. Wujek nie zdążył zobaczyć się ze swoim ojcem ponieważ prapradziadek Jakub zmarł. Jest pochowany na Cmentarzu Wojskowym w Perth w Szkocji. Zmarł, nie wiedząc, że jego żona i dzieci przeżyły pobyt na Syberii. Chciałabym kiedyś pojechać do Szkocji, odwiedzić grób prapradziadka Jakuba i zawieźć tam odrobinę polskiej ziemi.

Mieli szczęście, przeżyli piekło, śmierć bliskich, głód, zwyciężyli cierpienie. Praprababcia Maria z córkami wróciła do Polski na Ziemię Odzyskaną, tuż po zakończeniu wojny. Osiedlili się w Zelmowie – niedaleko Łobza. Starali się budować nowe życie, w nowym miejscu bez wsparcia i obecności męża i ojca, prapradziadka Jakuba. Byli już w swojej ojczyźnie, a jednak czuli się wyobcowani. Cały czas czuli strach, że to, co zbudują, posieją, zrobią zostanie im zabrane. Wiele miesięcy musiało upłynąć zanim poczuli się

bezpiecznie. Moją prababcię Emilię pobyt na Syberii zahartował. Stała się osobą silną, samodzielną ale mającą trudność w okazywaniu emocji i uczuć. Wujkowi Aleksandrowi podczas pobytu na Syberii najbardziej doskwierał głód. Po powrocie do Polski obiecał sobie, że nigdy nie dopuści do tego, by jego rodzina doznała głodu i niedostatku. Do końca swojego życia codziennie przygotowywał z żoną dwa obiady. Wujek Aleksander często przyjeżdżał do mojego dziadka Janka. Opowiadał mu o tym trudnym dla całej rodziny okresie. Mimo swoich już osiemdziesięciu lat płakał wspominając lata swojej młodości.

Praprababcia Maria przywiozła z Syberii w kieszeni starego palta złoty pierścionek. Przekazała go później prababci Emilii, a ta mojemu dziadkowi Jankowi. Dziadek przekazał ten pierścionek mojej mamie. Dziadek wspo-



mina czasami czasy swojego dzieciństwa i opowieści o swojej babci Marii, o mamie oraz wujku Aleksandrze. W Jego wspomnieniach mama Emilka była zawsze silną wojowniczką, niezłomną kobietą. Nie bała się wyzwań i ciężkiej pracy. Myślę, że pobyt na zesłaniu nauczył ją charyzmy ducha i podejmowania odważnych wyzwań w życiu. Obraz śmieci towarzyszył jej do końca życia.



SZER
M. JANICKI
13 KOMP. WARSZT.
17TH SEPTEMBER 1944 AGE 38

PLT.
J. JAKUBOWSKI
1 P. AKT. POMIAR.
19TH SEPTEMBER 1944 AGE 43

POLISH FORCES

Emilia Górak

Szkola Podstawowa w Krzywiniu

Sentymalny fotel



Blask wiosennego słońca oślepił mnie, gdy postanowiłam odwrócić wzrok od książki. Siedziałam w moim ulubionym fotelu w mieszkaniu mojej babci – Stefanii Górak. Uwielbiałam spędzać tu każdą chwilę. Wchodząc do domostwa babci czułam, jakbym przenosiła się kilkadziesiąt lat wstecz. Takie wrażenie wywierał muzealny wystrój wnętrza – zastawy stołowe pamiętające międzywojenne uroczystości rodzinne, przedwojenne solidne meble, pejzaże górskie oprawione w grube ramy i... nadszarpnięty zębem czasu oryginalny fotel, którego historię chciałam poznać, bo żaden z należących do niej przedmiotów nie jest zwykły. Zawsze lubiłam, gdy w powietrzu unosił się obłędny zapach świeżo upieczonego drożdżowego z kruszonką, a babcia zaparzała nam aromatyczną herbatę w lśniących porcelanowych filiżankach przyozdobionych wzorem kwitnących róż, udekorowanych złotymi obrzeżami. Zawsze potem jedna z nas siadała w fotelu, a druga na równie wiekowej, ale wciąż pięknej kanapie, a w międzyczasie babcia opowiadała historie o zamierzonych czasach. Gdy mówiła o przeszłości naszej rodziny, w jej oczach widać było niezwykle blask i poczucie dumy.

W roku 1914, jak i w każdym innym czasie, oczywiście nikt nie spodziewa się wojny. Ludzie zawierają małżeństwa, robią kariery, wychowują dzieci. W listopadzie tego samego roku rodzice mojej prababci – Helena i Jan Szpilowie – wyjeżdżają do Jugosławii, na tereny dzisiejszej Serbii, gdyż dzień wcześniej niedaleko ich miejsca zamieszkania rozpoczyna się ostrzał. Każdy pocisk niesie śmierć. Przerażeni zabierają więc ze sobą tylko najpotrzebniejsze rzeczy, ponieważ muszą jak najszybciej uciec. Pomimo tego, że dziadkowie przebywają za granicą, to w miarę możliwości wysyłają listy do rodziny, która nie emigruje ani nie zostaje deportowana z ziem polskich. Gdy wojna kończy się w 1918 roku, a Polska odzyskuje niepodległość, rodzice prababci wracają do ojczyzny, lecz nie na długo. W lutym 1920 roku Helena i Jan ponownie wyjeżdżają do Jugosławii. 10 lat później, dokładnie 15 grudnia 1930 roku na świat przychodzi moja prababcia Janina, która wychowuje się i mieszka tu przez następnych 15 lat. Dziadkowie żyją w stresie, ciągłym paraliżującym strachu i cały czas z towarzyszącym im uczuciem niepokoju, gdy dowiadują się o tym, że Niemcy 1 września 1939 roku o godzinie 4.45 ostrzałem Westerplatte rozpoczynają II wojnę światową. Prababcia, właściwie jeszcze dziewczynka, a może już młoda kobieta, jeszcze nie wie, że w walkach o wolność i godność bierze udział jej przyszły mąż. Pradziadek od marca 1942 roku należy do Armii Krajowej utworzonej po to, by stawiać opór okupantom, czyli Niemcom i Sowietaom. Celem tego ochotniczego wojska Polskiego Państwa Podziemnego jest także



przygotowanie i wywołanie powstania, w którym przyszły wybranek Janiny również uczestniczy. Babcia jest cywilem, również ze względu na wiek.

Po zakończeniu wojny w Polsce, babcia Janina wpadła na pomysł kupienia fotela za swoje oszczędności, czyli 150 dinarów jugosłowiańskich. Skłoniła ją do tego myśl, że wojna nie jest dla nikogo przyjemnym wydarzeniem, bo każdy coś traci. Niektórzy tylko dorobek życia. Tylko. Inni życie.

Jednak babcia starała się we wszystkim znaleźć coś pozytywnego. Mimo wszystko. Na przekór przeciwnościom losu. Była realistką, twardo stąpającą po ziemi kobietą, ale także wrażliwą i eteryczną optymistką. Janina postrzegała ludzi i różne zdarzenia jako dobre, a jeśli nie, to w dalszym rozrachunku prowadzące do korzystnych konsekwencji. O fotelu, który dla babci był tak ważny, mówiła, że ją ukazywał. Jej dostojność i elegancję, a zarazem piękno: szlachetną alabastrową cerę, niebieskie niczym szafir oczy, delikatne usta swym uśmiechem rozpromieniające każde towarzystwo. Nawet w najtrudniejszych czasach babcia zawsze podkreślała swą kobiecość kunsztownymi, eleganckimi sukienkami ukazującymi jej charakter i osobowość. Równie kunsztowne jest obicie fotela babci: fantazyjne wzory wyszyte gęsto błyszczącymi nićmi na gładkiej tkaninie, jednak w stonowanych odcieniach. Mocną konstrukcję fotela stanowi dębowy stelaż przypominający drzewo, pod którym Helena i Jan zawsze się spotykali jako nastolatki. Uwielbiali wiosną spędzać czas w swoim towarzystwie leżąc na soczystej zielonej trawie pod rozłożystym dębem, w którego orzeźwiająjącym cieniu obserwowali rozkwitające kwiaty, głównie eleganckie krokusy z ich okrągłymi płatkami układającymi się na kształt kielicha. W dotyku siedzisko fotela babci jest szorstkie, lecz przyjemne. Gdy zamknę oczy i czuję zapach fotela, myślami przenoszę się w jej duszę, jej ciało, gdyż pachnie tak, jak ona. Delikatnie, choć zmysłowo i urzekająco. Czasami czuję róże i fiołki, czasami dębowy mech i skórę.

Razem ze swoimi rodzicami w sierpniu 1945 roku babcia wróciła pociągiem, jadąc 3 dni do ojczyzny. Dzięki jej urokowi, konduktor zgodził się na przewiezienie fotela, który wcześniej babcia dokładnie zabezpieczyła. Zbudowała drewnianą skrzynię i go schowała. W pociągu był specjalny wagon na bagaże. Janina dopilnowała, by jej skarb nie został uszkodzony. Parę miesięcy później babcia poznała Władysława Góraka. Zawsze gdy chodziła do sklepu po najpotrzebniejsze rzeczy, przystojny mężczyzna zaczął ją przyjaźnić. Para, tak jak rodzice Janiny, lubiła wypoczywać pod dumnym szlachetnym dębem. Babcia uważała, że drzewa skrywają tajemnice, ale są dobrymi przyjaciółmi i kompanami do prowadzenia monologów. To tam pradziadek opowiadał babci o swoich doświadczeniach z czasu wojny. Czy był świadomy swojej heroicznej postawy? Oprócz tego, że walczył, parę razy wziął udział w akcjach sabotażowych i dywersyjnych. Zadaniem Władysława w czasie II wojny, jeśli chodzi o sabotaż, było roznoszenie ulotek produkcji Polskiego Państwa Podziemnego czy malowanie znaków Polski Walczącej. Wzruszał się podczas mówienia o swoich znajomych, którzy zostali wywiezieni albo w głąb

Rosji, albo do obozów koncentracyjnych. Prababcia natomiast opowiadała mi o tym, jak po otrzymaniu informacji, że wojna zakończyła się, z ekscytacją pobiegła do sklepu meblowego i kupiła fotel, który od dawna obserwowała przez witrynę. Mimo pozornych różnic, pięknie im było ze sobą. Pradziadkowie wzięli ślub i kupili dom w gminie Chojnów, dokładnie w miejscowości Stary Łom. Zajmowali się rolnictwem. Hodowali zwierzęta gospodarskie, którymi opiekował się dziadek: trzodę chlewną, konie i bydło. Babcia jeździła bryczką w kolorze jesiennych kasztanów, posiadającą siedzenie dla jednej osoby obite czerwoną śliską skórą, na targ w Bolesławcu, by sprzedawać ser, śmietanę i mleko wyprodukowane we własnym gospodarstwie.

Pomimo tego, że babcia była optymistką, samodzielną i pracowitą kobietą, to była także opiekuńczą i troskliwą matką. W 1952 roku urodziła się moja babcia – Stefania. Pomimo dużej ilości obowiązków, szczególnie po narodzinach córki, Janina znajdowała czas na czytanie polskiej literatury, przy której zawsze się wzruszała, a jednocześnie emanowała radością. W swoim fotelu, niczym na tronie, czytała, karmiła dziecko, wyszywała, odpoczywała, tęskniła, kochała, rozmyślała. Po rodzicach babcia Stefania przejęła miłość do zwierząt i pracy na roli. Dopiero w 1990 roku przeprowadziła się do miasta Chojnów, jednak od razu kupiła działkę, by rozwijać swoją pasję. Po śmierci pradziadków babcia Stefa, bo tak zazwyczaj mówią do niej przyjaciele, ze wszystkich przedmiotów z domu rodzinnego zabrała tylko fotel, który do dziś stoi u niej w salonie. Cała rodzina ma do niego niezwykle sentyment. Babcia lubi w nim siedzieć i – tak jak jej mama – czytać książki.

Dla niektórych ten fotel to zwykły przedmiot, jednak dla mnie i mojej rodziny ma bezcenną wartość sentymentalną i niesie ze sobą niezwykłą historię niejednego pokolenia. Pomimo, iż liczy on prawie 80 lat, jestem przekonana, że jest tak samo wygodny, jak tuż po zakupie. Oświadczyłam już babci, że chciałabym go odziedziczyć i z tego właśnie miejsca opowiadać moim dzieciom i wnukom historie naszych przodków, jak robiła i robi to moja babcia. Za odpowiedź wystarczył mi błysk szafirowych oczu i promienny uśmiech delikatnych różanych babcinych ust.

Piotr Maduzia

Szkoła Podstawowa z Oddziałami Integracyjnymi im. Leonida Teligi
w Pyrzycach



Historia, którą chciałbym przedstawić dotyczy dokumentu „Arbeitsbuch für Ausländer” należącego do mojego pradziadka.

Kazimierz Józef Pacyna urodził się 5 stycznia 1922 r. w Niemczech w miejscowości Teurof, gmina Staakow, powiat Freidorf podczas gdy jego rodzice (Józef i Apolonia), pochodzący z Walichnowy (powiat Wieluń), przebywali na dobrowolnych pracach u bauera. Tam dorastał i uczęszczał do niemieckiej szkoły, gdzie ukończył cztery klasy. Czas pobytu w szkole wspominał niemiło, ponieważ był dyskryminowany przez niemieckie dzieci, które przezywały go „Schweine Polacken”.

Po dojściu Hitlera do władzy i robienia „porządków w Niemczech” w roku 1933 dano do podpisu Józefowi (ojcu mojego pradziadka) Volkslistę, której nie podpisał i w związku z tym wraz z rodziną wrócił do ojczyzny.

Po przyjeździe do Polski Kazimierz Józef rozpoczął edukację w polskiej szkole podstawowej, gdzie ukończył cztery klasy. Nauka w szkole polskiej nie należała do łatwych z uwagi na to, że pradziadek słabo mówił po polsku i dzieci przezywały go małym Niemcem.

W dniu 1 września 1939 r. doszło do napaści Niemiec na Polskę. W związku z wybuchem II wojny światowej niemal wszyscy mężczyźni w Niemczech powołani zostali do wojska, dlatego też gospodarka niemiecka mogła normalnie funkcjonować tylko dzięki wyzyskowi siły roboczej z zagranicy. Takie rozwiązanie zapewniało zaopatrzenie ludności oraz ciągłość produkcji zbrojeniowej.

Z tego właśnie powodu w grudniu 1939 r. Kazimierz Józef został wywieziony razem ze starszym bratem Władysławem na przymusowe roboty do Niemiec. W okresie nazizmu powstał tam jeden z najbardziej rozbudowanych systemów pracy przymusowej w dziejach: ponad dwadzieścia milionów cywilnych cudzoziemców, więźniów obozów koncentracyjnych i jeńców wojennych musiało w czasie drugiej wojny światowej pracować na rzecz Niemiec.

Brat Władysław przed wojną służył w jednym z najsilniejszych garnizonów Wojska Polskiego w Grodnie. W sierpniu 1939 r. po przeprowadzeniu mobilizacji, część żołnierzy została skierowana do rejonu koncentracji Armii „Prusy”. Z pozostałych w Grodnie żołnierzy sformowano Grupę Operacyjną „Grodno” w celu ochrony miasta. Plany obrony na wypadek wojny z Niemcami w obliczu najazdu 17 września 1939 r. wojsk sowieckich legły w gruzach. Osłabione siły wojskowe w związku z przemieszczeniem wojsk do walk z Niemcami, zła łączność i chaos organizacyjny spowodowały, że dowódcy

wątpili w możliwość podjęcia skutecznej obrony przed napaścią ZSRR. W rezultacie, zgodnie z rozkazem naczelnego wodza, część wojsk oraz dowódca Grupy Operacyjnej „Grodno”, gen. Józef Olszyna-Wilczyński, opuścili Grodno.

W tych okolicznościach brat mojego pradziadka w mundurze oraz bronią pojawił się w rodzinnym domu. Z powodu panującej biedy i głodu udał się na polowanie, aby zapewnić wyżywienie swoim najbliższym. Jeden z sąsiadów doniósł o tym fakcie dowództwu wojsk niemieckich stacjonującemu na terenie Wielunia i okolic. Niebawem w domu zjawili się żołnierze niemieccy i zabrali Władysława oraz Kazimierza Józefa.

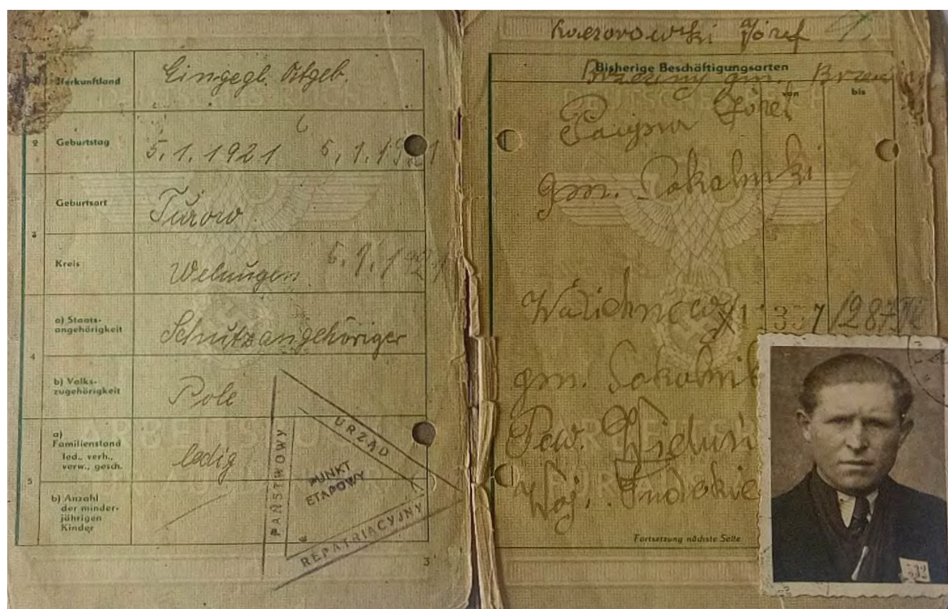
Obaj bracia trafili do Arbeitsamtu w Grimme, gdzie okazało się, że Kazimierz Józef zgodnie z ówczesnymi przepisami niemieckimi jest za młody by skierować go na roboty przymusowe. W związku z powyższym wpisano mu do Arbeitsbuch datę urodzenia 5 stycznia 1921 r. w celu uniknięcia konieczności odesłania go z powrotem do Polski. Następnie obaj bracia zostali skierowani do gospodarstwa bauera skąd po tygodniu uciekli. Zostali złapani przez żandarmów niemieckich na dworcu we Wrocławiu, a następnie przewiezieni do więzienia w Lipsku. Na oddziale śledczym przebywali przez sześć miesięcy. Brata Władysława pozostawiono w więzieniu. Prawdopodobnie ze względu na to, że był polskim żołnierzem traktowano go w wyjątkowo okrutny sposób. Był bity kluczami po głowie. Na skutek doznanych obrażeń w jego psychice nastąpiły zaburzenia, z którymi borykał się po wojnie do końca życia. Kazimierza Józefa skierowano do brygady pracującej w miejscowej cegielni. Razem z innymi pracującymi więźniami został umieszczony w jednym z pięciu drewnianych baraków na polu buraczanym, skąd dowożono ich do kopalni gliny. Warunki mieszkalne były bardzo złe z uwagi na duże przeludnienie. Wyżywienie składało się głównie z zupy brukwianej i gniecionych, brudnych ziemniaków w bardzo małych racjach. Z powodu głodu więźniowie wygrzebywali spod ziemi korzenie pozostałe po burakach, które następnie zjadali. Praca w kopalni była bardzo ciężka. Podczas pchania wózka z gliną Kazimierz Józef został przygnieciony przez inny wózek, na skutek czego doznał złamania żeber. Zdeformowane plecy pozostały pamiątką pradziadka do końca życia. Głód i brud w barakach był przyczyną epidemii tyfusu. Dwa z pięciu baraków ewakuowano do szpitala, a trzy baraki spalono razem z ludźmi z powodu braku miejsc w szpitalu. Kazimierz Józef miał szczęście, gdyż w tym czasie przebywał w szpitalu. Kiedy wyzdrowiał, stanął ponownie przed Arbeitsamtem, skąd został skierowany do bauera koło

Kaditsch, gmina Hufgen powiat Grimma. Tam pracował jako robotnik rolny do maja 1945 r., czyli do czasu wkroczenia wojsk amerykańskich na ten teren. Razem z nim w gospodarstwie pracowali Rosjanie, Rosjanki, Francuz oraz inny Polak – Leon z Ostrzeszowa.

Po wyzwoleniu Kazimierz Józef miał do wyboru: udać się na emigrację na zachód bądź powrócić do domu na wschód. Po zapakowaniu małej walizki z ubraniami pozostawionymi przez bauera wybrał kierunek na wschód do Polski. Droga była trudna, gdyż miał do pokonania rzekę Elbę przez zbombardowany most. Po przekroczeniu rzeki i dłuższym marszu został zatrzymany przez żołnierzy radzieckich, załadowany na ciężarówkę i zawieszony do lasu. Kazano mu oraz innym współtowarzyszom zostawić swój bagaż w szopie. Wszyscy musieli nocować na zewnątrz i spać na gołej ziemi. Z tego miejsca Kazimierz Józef i wielu innych zostali wywiezieni do miasta, prawdopodobnie Wrocławia, gdzie rozmontowywali maszyny z fabryki i ładowali je na wagony kolejowe, które jechały na wschód. Po trzech tygodniach przywieziono ich do wspomnianej wcześniej szopy, gdzie zastali rozszabrowane bagaże. Kazimierz Józef zabrał swoją walizkę, w którą włożył znalezione bandaże i środki opatrunkowe, a następnie udał się na pieszo w kierunku Walichnowy. Po powrocie do domu nie zastał ojca Józefa, który udał się do miejscowości Brzezina powiat Pyrzyce na Ziemię Odzyskane, gdzie objął gospodarstwo rolne wraz z inwentarzem. Zaraz po tym ściągnął resztę rodziny, w tym również mojego pradziadka z Walichnowy. Rodzina zaczęła nowe życie. W 1950 r. umarł Józef, którego w gospodarstwie zastąpił Kazimierz Józef. Mając 30 lat opuścił gospodarstwo, ożenił się 1 czerwca 1952 r. ze Stanisławą Żuchlińską. Małżeństwo miało czworo dzieci. Mój dziadek – Jan Pacyna urodził się 4 maja 1954 r. To właśnie on opowiedział mi historię życia mojego pradziadka, za co jestem mu bardzo wdzięczny. Dzięki jego opowieściom i wielu pamiątkom zachowanym po przodkach mogłem przekonać się, że wiadomości dotyczące między innymi obozów pracy przekazywane w szkole są faktem, który dotyczy również mojej rodziny.

To właśnie w szkole, z książek, jak również w artykułach odnalezionych w Internecie dowiedziałem się, że wszystkie okupowane przez Niemcy kraje wykorzystywane były jako zaplecze siły roboczej. W początkowej fazie okupacji próbowali werbować ludzi do pracy. Według propagandy nazistowskiej dzięki niemieckim rolnikom, którzy oferowali pracę i zapewniali godne warunki życia, bezrobocie i nędza odchodziły w przeszłość. Rozwieszano fotografie zadowolonych pracowników, którzy w czystych, białych koszulach zjadają z

apetytem suty obiad. Polacy domyślali się jak w rzeczywistości wygląda praca w Niemczech. Nic dziwnego, że propaganda niemiecka napotykała na opór. Polacy zrywali urzędowe ogłoszenia, a w ich miejsce przyklejali ostrzeżenia:



„Chcesz umierać na suchoty, jedź do Niemiec na roboty!”. Natomiast na budynkach, gdzie prowadzono nabór na wyjazdy do pracy, umieszczano napis: „Usługi pogrzebowe”. Nie mogąc znaleźć ochotników Niemcy przystąpili do przymusowego pozyskiwania robotników. Jedną z metod były uliczne łapanki. W sierpniu 1944 roku, w okresie najliczniejszego zatrudnienia cudzoziemców, w Niemczech pracowało sześć milionów cywilnych robotnic i robotników. Większość z nich pochodziła z Polski i Związku Sowieckiego. Warunki bytowe robotników przymusowych w Niemczech i w krajach pod niemiecką okupacją były uzależnione od przynależności narodowej, statusu prawnego i płci. Ludzie wywożeni do Niemiec z Polski i ze Związku Sowieckiego (w nazistowskim żargonie okreśłani jako „Ostarbeiter”) podlegali dyskryminującym dekretem specjalnym i byli skazani na samowolę gestapo i innych instancji policyjnych. Miejsce zakwaterowania w obozach mogli opuszczać tylko wówczas, gdy szli do pracy, ponadto zmuszeni byli do noszenia na wierzchniej odzieży piętnującego oznakowania („P”, „OST”).

Rasistowska hierarchia reżimu nazistowskiego odwoływała się do szeroko rozpowszechnionych w niemieckim społeczeństwie uprzedzeń wobec Słowian, które zresztą były źródłem wielu dodatkowych zniewag, denuncjacji

i prześladowań.

Mój pradziadek, podobnie jak wielu innych Polaków, którym udało się przetrwać ciężki czas niemieckiej okupacji i prac przymusowych został przyjęty do Stowarzyszenia Polaków Poszkodowanych przez III Rzeszę Niemiecką i uznany za uprawnionego do uzyskania odszkodowania z tytułu poniesionych szkód. Jednak nic nie jest w stanie zrekomensować tak wielu dramatycznych przeżyć, utraty zdrowia i godności.

Myślę, że takie „żywe” lekcje historii powinny być dla całej ludzkości doświadczeniem, z którego trzeba wyciągać wnioski, że nie możemy pozostawać obojętni na przemoc, wykorzystywanie słabszych i brak poszanowania godności człowieka.

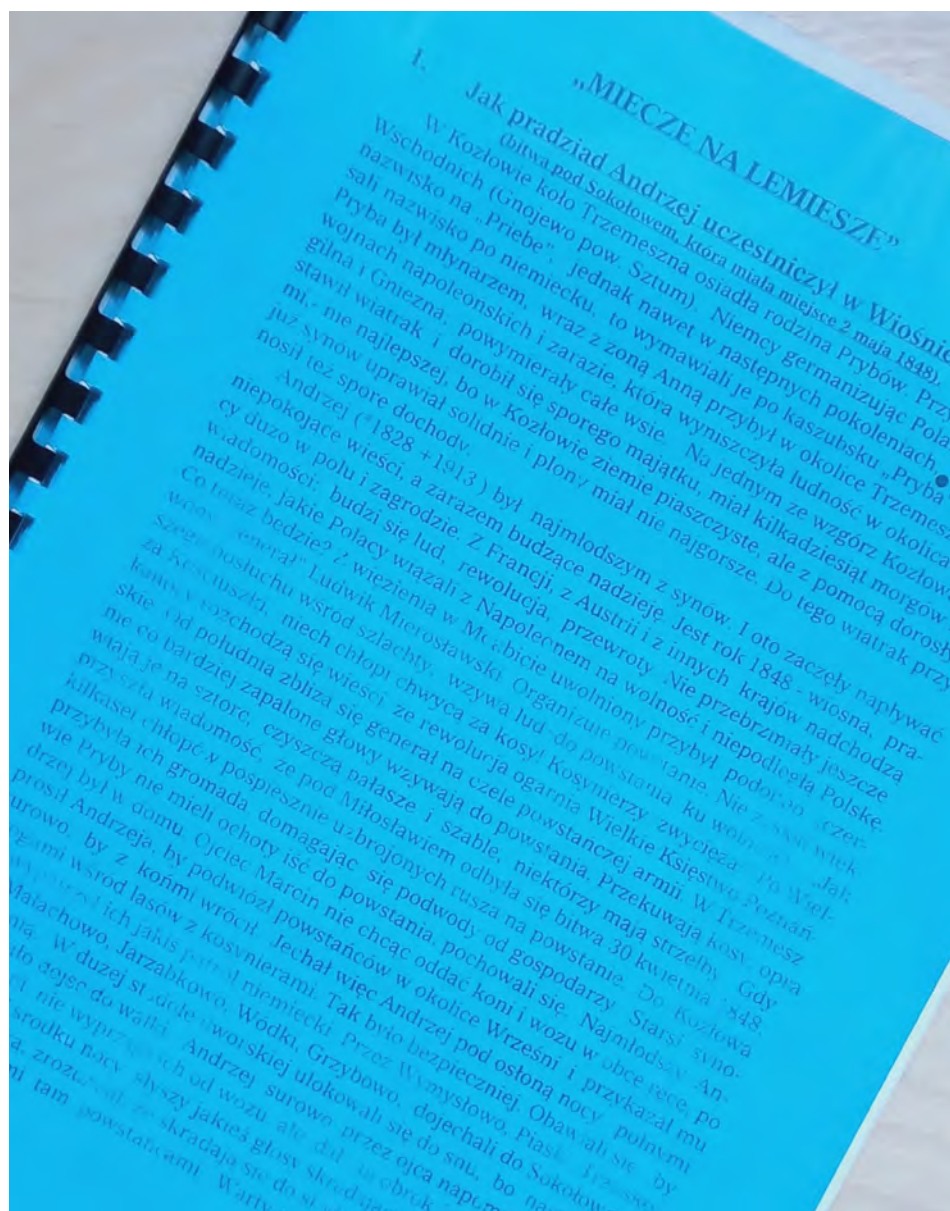
Źródło:

- ciekawostkihistoryczne.pl/2018/10/01/oszukac-przeznaczenie-czy-mozna-bylo-uniknac-przymusowej-wywozki-do-iii-rzeszy
- archiwumkresowe.pl/byly-lapanki-do-pracy-w-kraju-i-zagranica-w-jednej-chwili-przyszla-doroslosc-i-rozum-z-kresow-wschodnich-ii-rp-na-przymusowe-roboty-w-niemczech
- www.zwangsarbeit-archiv.de/pl/zwangsarbeit/zwangsarbeit/zwangsarbeit-2
- pl.wikipedia.org/wiki/Obrona_Grodna

Weronika Świąciochowska

Katolickie Liceum Ogólnokształcące im. św. Maksymiliana Marii Kolbego
w Szczecinie

Niezwykłe zapiski zwykłego księdza, czyli „Miecze na Lemieszę”



Za pięknymi historiami stoją wspaniali ludzie, lecz kto dawniej myślał, że młodzi ludzie, tacy jak my, będą chcieli o nich słuchać. Ksiądz Alojzy Święcichowski uznał za swój obowiązek opowiedzenie historii swojego stryja Leona Święcichowskiego. Wszystko zaczęło się od zawiadomienia z dowództwa armii o pochowaniu Leona w mogile zbiorowej w lesie, blisko dworca kolejowego. Dokument ten przechowywany w domu rodzinnym w Folwarku zaginawszy, nie został zapomniany. Dane znalazł na pamięć żyjący wówczas ojciec księdza Alojzego – Feliks. Wraz z dorosłym synem pojechali więc w okolice mogiły i dopiero po trzydziestu czterech latach udało się postawić tablicę pamiątkową dla niezapomnianego stryja Leona. Wspomnienie to oraz wiele słyszanych historii opowiadanych przy herbacie sprawiło, że ksiądz Alojzy – wujek mojego ojca – postanowił nie dopuścić do zapomnienia i podjął próbę spisania dziejów siedmiu braci: Feliksa, Leona, Michała, Jana, Władysława, Wacława oraz Ignacego – mojego pradziadka.

„Miecze na Lemiesz” to zbiór historii i opowiadań spisanych po latach. Swoje ręczne zapiski – wciąż uzupełniane – Alojzy postanowił wydrukować i przekazać swoim krewnym z prośbą dopisywania co ciekawszych historii. W moich rękach zapiski te znalazły się dopiero jakiś czas temu. Będąc w domu mojej babci – podczas przerwy szkolnej – dowiedziałam się o istnieniu tego egzemplarza. Dostałam go więc, obiecując wcześniej, że będę o to dbała i nie dopuszczę do zniszczeń.

Z początku czytając, trudno było mi stwierdzić, o kim mowa w danym rozdziale. Świadczyło to o tym, jak mało jeszcze wiem o moich przodkach. Jednakże ksiądz Alojzy zapewne domyślał się, że takie sytuacje będą częste, dlatego przy każdym imieniu i nazwisku widoczny jest mniej lub bardziej dokładny rok urodzin i śmierci. Jest też sporządzony spis rodziny – dokładne dane przodków ukazują więc więzi rodzinne. Dzięki temu, gdyby ktoś chciał sporządzić drzewo genealogiczne, byłoby to niezmiernie łatwe. Od pewnego momentu czytając miałam wręcz łzy szczęścia w oczach, widząc znane imiona dziadka, babci, cioci, wujka i w końcu samego taty.

Opowieści, które znajdują się po rodowodzie są różnorodne. Zarówno smutne, jak i śmieszne, przyziemne, najczęściej opowiadane zapewne na poprawę humoru. Ja sama wiele razy śmiałam się w głos. Zapiski nie są jednak uzupełniane przez zdjęcia, mimo tego, że przy każdej opowieści widoczne są przypisy. Bardzo możliwe, że zdjęcia były w oryginalnej wersji księdza lub miały być dopiero dołączone po znalezieniu ich w albumach rodzinnych. Podobnie jest również z samymi zapiskami. Widać tytuły opowiadań, lecz nie

ma do nich rozwinięcia. Świadczy to o przekazywaniu oryginału z nadzieją, że mimo wszystko znajdą się szczegóły do spisania.

Jednymi z najciekawszych opowiadań są te, które opowiadają o nastrojach i życiu ludzi przed I wojną światową, ale też podczas niej samej. Znaleźć można tam opisy walk na różnych frontach, to jak Polacy byli zmuszeni strzelać do Polaków, opisy problemów z jakimi trzeba było się mierzyć oraz decyzji mogących zawarzyć na ludzkim życiu. Cudowne przetrwania, ale też chwile wytchnienia zapełnione spokojnymi rozrywkami. Najwięcej spisanych opowieści mówi o dziejach wojennych młodego, dwudziestoletniego Feliksa. Oprócz opisów krwawych walk, z których ledwo uchodził z życiem, znaleźć można wywołujące salwy śmiechu zdarzenia. Jedną z nich była opowieść o niefortunnej gęsi, jak to młodziutki i niedoświadczony Felix chcąc upolować gęś na obiad, upolował własną stopę.

Czytanie zapisków przypominać może wręcz czytanie książki do historii. Feliks miał pamięć i dar obrazowego opowiadania. Tak więc, gdy w 1995 roku książkę Alojzy znalazł się w Metz i Verdun, odnosił wrażenie, że już kiedyś oglądał te miejsca. Opisane są tam wydarzenia, o których faktycznie uczył się w szkole. Znaleźć można opis strajku szkolnego „Dzieci Wrzesińskich” z 1901 roku, który z czasem objął całą Wielkopolskę, Pomorze i częściowo Śląsk. Felix miał tylko jedenaście lat podczas tych wydarzeń, pamiętał jednak każdy szczegół wspominając tak zwane chodzenie na sztрек, co zawsze budziło dreszcz trwogi. Zapiski ukazują również wkład księży w podnoszeniu na duchu Polaków w czasie trwania wojen. Wszelkie historie uczące patriotyzmu i katolicyzmu są szczególnie dokładnie opisane, aby uczyć przyszłe pokolenia.

Wiadome jest jednak, że gdy wojna się skończyła, ludzie musieli iść przez życie starając się przebrnąć przez bolesne wspomnienie przeszłości. Dlatego też dalsze opowieści to opisy zwyczajnego życia po zakończeniu I i II wojny światowej. Śluby, wesela, pogrzeby i komunie. Życie trwało dalej. Opisy gleb, gospodarstw i targów ukazują prostotę życia codziennego. Poznać można bliżej dawne zwyczaje w rodzinach, ale też odrębną kulturę danej rodziny. W jednym z opisów dowiedziałam się, że Andrzej – dziadek Feliksa – był w stanie końskie podkowy skręcać w swych rękach. Ukazanie jego nadludzkiej siły za każdym razem mnie rozbawia. Trzeba jednak pamiętać, że za sielanką i śmiesznymi historiami kryją się też ważne lekcje, ukazujące mi ludzkie wady, których muszę starać się wyzbywać. Dzięki temu mogę wyciągać wnioski i nie popełniać tych błędów, co moi przodkowie.

Choć moja pamiętka nie prezentuje się wyjątkowo, nie jest okazała,

nie ma pięknej oprawy, ani wzniosłej przeszłości, to dla mnie jest to najpiękniejsza pamiątka rodzinna. Dzięki niej nie zapominam o mojej przeszłości, jaką są nie tylko wydarzenia, ale też wspaniali ludzie, dzięki którym mogę żyć w wolnej Polsce i być tym, kim jestem. Czytając zapiski, rozpiera mnie dumą, że mam w rękach bezcenne historie, o których nie można nigdy zapomnieć.

Gala rozdania nagród Laureatom IV edycji konkursu historyczno-literackiego „Znajdź swoją pamiątkę rodzinną i opisz jej historię”

W tegorocznej edycji konkursu „Znajdź swoją pamiątkę rodzinną i opisz jej historię” wzięło udział ponad 100 uczniów z zachodniopomorskich szkół.

21 autorów wyróżnionych prac odebrało dyplomy i nagrody podczas uroczystej gali, która odbyła się 12 czerwca 2023 r. w Sali Rycerskiej Zachodniopomorskiego Urzędu Wojewódzkiego w Szczecinie.



Od lewej Wojewoda Zachodniopomorski Zbigniew Bogucki, Zachodniopomorski Kurator Oświaty Katarzyna Koszewska, Dyrektor Archiwum Państwowego w Szczecinie dr hab. prof. US Krzysztof Kowalczyk, laureat konkursu Filip Wiśniewski, dyrektor Zespołu Szkół im. Pamięci Ofiar Terroryzmu 11 Września 2001 w Kaliszu Pomorskim Maciej Rydzewski.



Od lewej Wojewoda Zachodniopomorski Zbigniew Bogucki, Zachodniopomorski Kurator Oświaty Katarzyna Koszewska, laureatka konkursu Aleksandra Karpińska, Dyrektor Archiwum Państwowego w Szczecinie dr hab. prof. US Krzysztof Kowalczyk, opiekun laureatki.



Od lewej Wojewoda Zachodniopomorski Zbigniew Bogucki, Zachodniopomorski Kurator Oświaty Katarzyna Koszewska, laureatka konkursu Zuzanna Sydewska, opiekunka laureatki, Dyrektor Archiwum Państwowego w Szczecinie dr hab. prof. US Krzysztof Kowalczyk.



Od lewej Wojewoda Zachodniopomorski Zbigniew Bogucki, opiekun laureatki konkursu, Zachodniopomorski Kurator Oświaty Katarzyna Koszewska, laureatka konkursu Bianka Barwińska, Dyrektor Archiwum Państwowego w Szczecinie dr hab. prof. US Krzysztof Kowalczyk, opiekunka laureatki.



Od lewej Wojewoda Zachodniopomorski Zbigniew Bogucki, Zachodniopomorski Kurator Oświaty Katarzyna Koszewska, laureatka konkursu Weronika Święciochowska, opiekunka laureatki, Dyrektor Archiwum Państwowego w Szczecinie dr hab. prof. US Krzysztof Kowalczyk.

